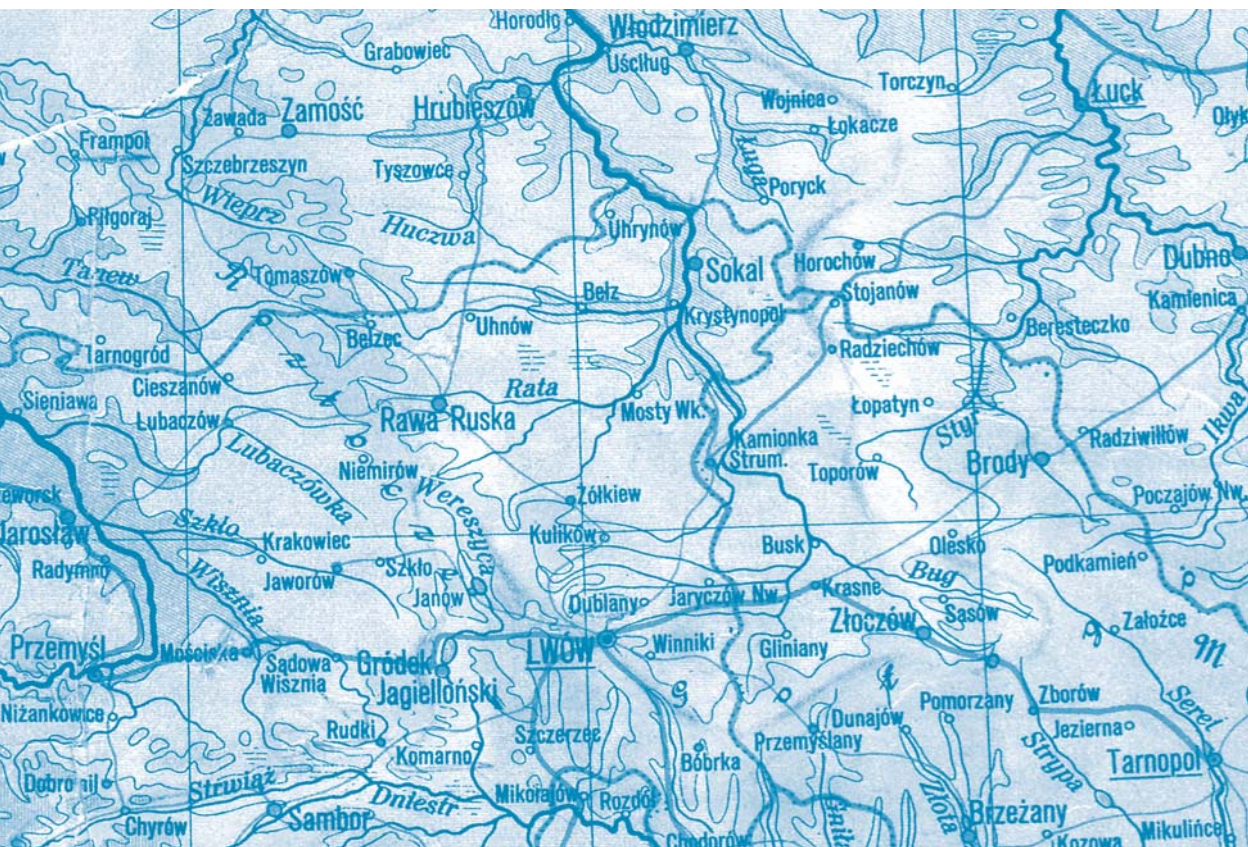


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(73) 2013

Homilia 2012 w rocznicę Obrony Lwowa ♦ List do Marszałka Sejmu
♦ Arcybiskupstwo od 600 lat we Lwowie ♦ Poezja I. Sandeckiej
i M. Piotrowskiej ♦ Rozmowa z prof. K. Wiechem ♦ Opowieść
o Czartowskiej Skale ♦ O Lwowiankach ♦ Nowy Zarząd w krakow-
skim Oddziale TMLiKPW ♦ Po 27 latach koniec spotkań u Domi-
nikanów ♦ Odznaczenia dla Ludzi Godnych ♦ Sylwetki ♦ Książki

NOWY ROK, STARE I NOWE SPRAWY

Czytelnik zauważy zapewne na okładce mapkę (czy da się nie zauważyć?), na której dostrzeże Lwów i północną stronę Małopolski Wschodniej z kawałkiem Wołynia. To dopiero początek, bo na okładkach czterech tegorocznych numerów zamierzamy pokazać całą wschodnią Małopolskę z Podolem, Pokuciem, Stanisławowem, Tarnopolem, wschodnim Roztoczem, Zagłębiem Naftowym i Karpatami, a nawet i trochę więcej – ze wspomnianym Włodzimierzem Wołyńskim na północy (bo w tym numerze także o nim przeczytamy), a także Kamieńcem Podolskim na południu, leżącym już za Zbruczem (a powinien być polski, nieprawdaż?)

Cztery mapki pozwolą nam odszukać dziesiątki miejscowości, na które w każdym numerze – w słowniku, artykułach, wspomnieniach – natrafiamy. A więc korzyść, bo nie każdy ma w domu mapy naszej utraconej Ziemi. I przy okazji coś całkiem nowego – pokazywaliśmy wszak wizerunki królów, uczonych, pisarzy, zabytki, pomniki, krajobrazy, a teraz będą jeszcze mapy... Czyli – odmiana wizualna.

To dopiero jedno, co Czytelnik szybko zauważy. Jest też następna sprawa, na którą chcemy zwrócić uwagę, choć rzuca się w oczy na pierwszej stronie. Widzimy tam sześć wizerunków osób i ich krótkich życiorysów, w sumie będzie ich (w czterech numerach) – 24. Są to (nieżyjący już) ludzie, których zły los odciął od powojennej Polski, od Narodu. W różny sposób. To Polacy, którzy nie opuścili po II wojnie Ziemi rodzinnej, i tacy, którzy nie z własnej woli znaleźli się w różnych stronach świata, daleko od Polski – w krajach Europy (głównie w Londynie), w obu Amerykach, w Afryce, Australii... Tych ludzi, których pokazujemy, łączy jedno: byli ludźmi wybitnymi, działali dla dobra Rodaków i rozslawiali imię Ojczyzny. Zaliczymy do nich wspaniałych duchownych, nauczycieli, działaczy polskich organizacji, ludzi kultury i nauki. Było (i jest) takich naturalnie o wiele więcej, ale przecież nie wszystkich jesteśmy w stanie tu wymienić. Czytamy wszak o nich w książkach, czasopiśmie, a te pokazane 24 postacie niech się staną symbolami za nich wszystkich!

I dalej: jeśli ktoś przeoczył piękną homilię ks. Zielińskiego z ubiegłorocznej Mszy św. za Orłęta, niech do niej powróci, bo warto. Przy okazji wyjaśnienie: prezentacje tekstów z listopadowej Mszy z konieczności znajdują się w tym numerze (1/13) z opóźnieniem, bo tamten – 4/2012 – był już wtedy gotowy. Podobnie z Modlitwą Wiernych czy ormiańskimi życzeniami od ks. Isakowicza-Zaleskiego...

Co jeszcze ważnego w tym numerze? Obchodzimy 150. rocznicę Powstania Styczniowego. Nasze małopolskie ziemie – Galicja pod zaborem austriackim – nie znalazły się, jak wiemy, w zasięgu styczniowego zrywu, a jednak Lwów odegrał wtedy, po Powstaniu, historyczną rolę, której ślady

dokończenie na III s. okładki



Bp o. RAFAŁ (Władysław) KIERNICKI (1912 Kułaczkowce k. Kołomyi – 1995 Lwów), franciszkanin. Studia w Krakowie i Lwowie, święcenia 1939. Aresztowany, 1941–48 na zesłaniu. Po powrocie praca duszpasterska przy katedrze lwowskiej, pod nieustanną inwigilacją władz sowieckich; 1958–64 praca fizyczna jako stróż nocny. W 1964 powrót do pracy duszpasterskiej, od 1974 wikariusz generalny archidiecezji lwowskiej, od 1991 biskup pomocniczy. Po transformacji politycznej odegrał znaczącą rolę w organizowaniu na nowo struktur kościelnych. Obecnie kandydat do beatyfikacji.

Bp JAN CIEŃSKI (1905 Pieniaki – 1992 Złoczów). Pierwotnie studiował rolnictwo i prawo we Lwowie, od 1933 w seminarium duchownym, święcenia 1938. Przez 54 lata pracował w Złoczowie kolejno jako wikariusz, administrator parafii i proboszcz. W 1946 mianowany nieoficjalnie przez abpa Baziaka wikariuszem generalnym dla całej archidiecezji lwowskiej. W 1967 konsekrowany w Gnieźnie przez prymasa kard. Wyszyńskiego na biskupa, co ujawniono dopiero po jego śmierci. Bp Cieński konsekrował potajemnie dwóch kapłanów łacińskich i kilku greckokatolickich.



Bp. JAN OLSZAŃSKI (1919 Hucisko Brodzkie – 2003 Kamieniec Podolski). Studia we Lwowie, święcenia 1942. Wikariusz, potem proboszcz w kilku parafiach diecezji kamieniecko-podolskiej i Lwowie (MB Śnieżnej). 1991–2003 pierwszy po 71 latach biskup kamieniecki. Administrował pd. częścią Ukrainy wraz z Zagłębiem Donieckim i Krymem. Doprowadził do odtworzenia ponad 200 parafii, założył seminarium duchowne w Gródku Podolskim.

PIOTR HAUSVATER (1894–1966 Lwów). Nauczyciel-polonista, pedagog i wychowawca w szkołach lwowskich, autor podręczników szkolnych, zarazem muzyk i miłośnik teatru. W 1957 zainicjował powstanie polskiego teatru we Lwowie, stworzył zespół spośród młodzieży z ówczesnych trzech szkół polskich; reżyserował pierwsze przedstawienia.



MIECZYŚLAW GĘBAROWICZ (1893 Jarosław – 1984 Lwów). Na Uniwersytecie Lwowskim ukończył studia historii sztuki, tamże wykładał (również na Politechnice Lw.). Dyrektor ZN im. Ossolińskich, ostatni do II wojny. Po 1945 pozostał we Lwowie, pozbawiony stanowisk i tytułów, przyczynił się do ratowania polskiego dorobku kulturalnego. Pisał prace, publikowane w RP i Anglii.

EUGENIUSZ CYDZIK (1921 Grodzieńszczyzna – 2012 Lwów). W czasie II wojny w AK, udział w operacjach przeciw okupantom. Aresztowany, zesłany do Workuty, pracował w kopalni. Wrócił po wojnie, osiadł we Lwowie na całe życie. Zainicjował ratowanie grobów poległych, odnowę cmentarzy wojskowych i kwater powstańczych we Lwowie i okolicy. 1984–91 prezes Pol. Tow. Opieki nad Grobami Wojskowymi.



O. Sławomir Zieliński z kościoła św. Antoniego we Lwowie

W SERCU KAŻDEGO CZŁOWIEKA JEST PRAGNIENIE DOMU

Homilia wygłoszona w czasie Mszy św. za Orlęta Lwowskie 22 listopada 2012 w Bazylice Mariackiej w Krakowie

Kochani współbracia w kapłaństwie Chrystusowym i w życiu zakonnym;

Kochani w Chrystusie bracia i siostry, ci, którzy w sercu swym nosicie żywy obraz Kresów, które dziś oddzielają od Polski zasieki graniczne;

Harcerze, którzy porzuciliście jakieś zajęcie i tak jak Maria w dzisiejszej Ewangelii przysiadacie przy Jezusie, aby posłuchać Jego nauki, aby obrać dziś wieczorem jakąś lepszą część – wybraliście ją;

Kochani w Chrystusie, którzy dziś wypełniacie Bazylikę Mariacką w Krakowie swą obecnością, a przede wszystkim swoją modlitwą, wdzięczną modlitwą!

Cieszę się, że ksiądz profesor Józef* zaprosił mnie na tę dzisiejszą uroczystość do Krakowa. Cieszę się, że mogę być dziś z wami tu, a jutro już w Katedrze, przy grobie sługi Bożego Ojca biskupa Rafała Kiernickiego, bo jutro przypada 17. rocznica Jego śmierci. Rocznica śmierci człowieka, który gdy Jan Paweł II był w Lubaczowie i chciał coś o nim powiedzieć, to powiedział takie zdanie: *Któż Go nie zna?!* – Któż nie zna ojca Rafała? Papież Benedykt XVI będąc w Polsce, właśnie tu na Błoniach Krakowskich, powiedział do młodych ludzi takie piękne słowa i od nich zaczął:

... W sercu każdego człowieka jest pragnienie domu, który będzie własny, który będzie trwał, do którego będzie się nie tylko wracać z radością, ale i z radością przyjmować każdego przychodzącego gościa. To tęsknota za domem, w którym miłość będzie chlebem powszednim, przebaczenie koniecznością zrozumienia, a prawda źródłem, z którego wypływa pokój serca. To tęsknota za domem, który napędza dumę, którego nie trzeba będzie się wstydzić i którego nigdy nie trzeba będzie opłakiwać. To

pragnienie jest niczym innym jak tęsknotą za życiem pełnym, szczęśliwym, udanym. Nie lękajcie się tej tęsknoty! Nie uciekajcie od niej! Niech was nie zniechęca widok domów, które runęły, pragnień które upadły. Bóg Stwórca dając młodemu sercu ogromną tęsknotę za szczęściem nie opuszcza go w rozumnym budowaniu domu, któremu na imię życie.

Te słowa mówił papież Benedykt XVI do młodych ludzi w Polsce. Ale te słowa trafiają dzisiaj do każdego z nas. Do ciebie i do mnie. Bo te słowa chcę wpisać w tę historię: od 22 listopada 1918 roku po dzień dzisiejszy odnoszą się one do tego ogromnego czasu, kiedy człowiek budował swój dom i kiedy starał się o to, aby jego dom nie runął w gruzach. Dlatego młodzi ludzie poszli na barykady Lwowa, dlatego podjęli walkę, dlatego oddali swoje życie, dlatego byli tak bardzo odpowiedzialni za swoje miasto, dlatego że ono było ich domem. I tego domu nie można było zniszczyć! Bo gdy dom runie w gruzach, również w gruzach legnie szczęście człowieka. Wtedy ucieka nadzieja, wtedy wszystko wydaje się tragiczne. Oni nauczyli nas szacunku do tego, co nazywamy domem – do Ojczyzny, do języka, do zwyczajów, do tradycji, do honoru, do prawdy, do wielkich dążeń – to był fundament, który nie runął w gruzach, ale fundament, na którym było można ciągle budować i stawiać nowe oblicze domu, któremu na imię Ojczyzna, a tej Ojczyźnie na imię Polska. I kiedy później przyszedł czas drugiej wojny światowej, kiedy trzeba było, moi kochani, pakować swój dobytek, kiedy trzeba było wsiadać do wagonów i wybierać inne miejsce swego domu, wielu z was było wtedy dziećmi, młodzieńcami. Wielu wyjechało ze swymi rodzicami, aby budować dom gdzie indziej. Ale jaki dom? Dom tęsknoty za szczęściem, za utraconym rajem, za utraconą młodością, za utraconym miejscem,

gdzie słyhać było twój śmiech i słyhać było różną mowę, która nie przeszkadzała sobie. Słyhać było różne pieśni, które nie przeszkadzały sobie. Były różne kalendarze liturgiczne, które wcale nie burzyły tradycji świątecznej. Tęsknota za czymś wspaniałym, co zostało zburzone ręką człowieka, który chciał innego świata, który chciał innych wartości; człowieka, który chciał skłócenia, a nie jedności. I to był drugi okres, o którym chcę wspomnieć, okres, kiedy trzeba było opuścić dom swego dzieciństwa i odnaleźć go gdzie indziej. Odnaleźliście go tu, bracia i siostry, Kraków stał się dla was nowym domem. Ale o tamtym nie zapomnieliście, tamtego nie wyrzuciliście ze swego serca. Tamten dom ciągle w was jest i wy jesteście tego świadkami, bo dziś tu jesteście. Bo dziś jesteście wraz z nami.

I chcę powiedzieć o trzecim domu. Dom, który był opustoszały, ale którego stróże ciągle dzielnie tego domu bronili. To o tych ludziach powiedział bł. Jan Paweł II, gdy przybył do Lwowa takie słowa: *Pragnę złożyć hołd wam wszystkim, drodzy kapłani, zakonnicy i zakonnice, którzy pozostaliście wierni temu ludowi Bożemu. Do was zaś, którzy teraz stojecie u boku tych ofiarnych sług Ewangelii i staracie się kontynuować ich misję, mówię: Nie lękajcie się! Nie lękajcie się! Chrystus nie obiecuje łatwego życia, ale zapewnia zawsze wam swoją pomoc...*

Ten dom czasów powojennych, czasów komunizmu, czasów zamykania świątyń, czasów zamieniania ich na stajnie, sale gimnastyczne, domy kultury, sklepy, magazyny kołchozowe, bary. Ten czas naznaczony był również obecnością człowieka, który mówił w tym trudnym czasie: *A jednak Bóg jest*. To biskup Cieński w Złoczowie, to ojciec Rafał Kiernicki we Lwowie, to kapłani, którzy później dołączali, którzy stanowili taką małą grupę, która zatroszczyła się o wierzących tam we Lwowie i w całej dzisiejszej archidiecezji lwowskiej. To oni są świadkami żywej wiary tamtego ludu, żywej wiary domu, który nie zatracił prawdy. I im dziś trzeba również oddać szacunek. I im trzeba dziś również pokłonić się, bo gdyby nie oni, nie mielibyśmy tego, co dziś jest. Nie byłoby prawie 200 otwartych parafii, nie byłoby prawie 200 kapłanów pracujących w archidiecezji. Nie byłoby rodzinnych domów dziecka prowadzonych przez Caritas archi-

diecezji lwowskiej. Nie byłoby żłobków i przedszkoli prowadzonych przez siostry zakonne, które przyjechały z Polski i tam ofiarnie pracują. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie kilka osób troszczących się o dom, tym razem dom Boży.

Jan Paweł II wołał do Kościoła we Lwowie: *...Wyplń na głębię, vyplń na głębię, lwowski Kościele łaciński. Tam jest spokój! Nie lękaj się trudności, które także dzisiaj stają na twej drodze. Z Chrystusem odniesiesz zwycięstwo. Odważnie dąż do świętości. W niej kryje się niezawodna obietnica prawdziwego pokoju i trwałego postępu. Te słowa dziś mówię do was – lwowiaków, kresowiaków i tych, którzy chcą przejąć pałeczkę historii od tych, którzy są świadkami historii. Właśnie wy – młodzi.*

Nie lękajcie się, vyplńcie na głębię. Wyplńcie na głębię z prawdą i z szacunkiem dla domu, któremu na imię Polska. Polska, która nie jest kresowa i niekresowa. Ale Polska, która jest jedna. Ta, którą kochamy, szanujemy i której wdzięczność codziennie okazujemy modlitwą, zwykłą, prostą modlitwą, codziennym pacierzem...

Dwa lata temu, w Radenicach koło Mościsk, mając rekolekcje, zauważyłem w kościele osobę, już dziś dobrze po osiemdziesiątce, zgiętą w pół. Przychodziła do kościoła podpierając się dwoma palikami. Mówię do proboszcza, który pochodzi z diecezji krakowskiej, z Kamienia pod Krakowem – tam pracuje. Mówię do niego: *Księżo Mieciu, powiedzmy tej pani, żeby ona się nie trudziła. Będziemy ją przywozić do kościoła i odwozić*. On mówi do mnie: *Idź ojczy, powiedz jej*. Podchodzę i mówię, żeby czekała na nas, że teraz ją odwieziemy, a jutro zabierzemy po drodze. Ona podnosi pochyloną ku ziemi głowę, podnosi do góry, odwraca w moją stronę i mówi: *Ojczy, ja nie dam rady wejść do samochodu. Nie podniosę nogi tak wysoko*. Więc ja mówię: *To bądźcie w domu, będziemy wracać z kościoła, przywieziemy komunię, a ja powiem wam o czym mówiłem*. A ona do mnie mówi tak, z taką pięknie



promieniejącą twarzą, twarzą osoby starej wiekiem, ale nie duchem, nie wiarą – stawia mi pytanie: *Ojcze – a którą z ran Chrystusowych chcesz mi zabrać? Ze zdziwieniem odpowiadam: Nie rozumiem tego pytania. A ona: Bo ja do kościoła idę dwie godziny – to dwie rany Chrystusowe, godzinę jestem w kościele – to trzecia rana Chrystusowa. Dwie godziny wracam – to czwarta i piąta rana Chrystusowa, którą więc chcesz z ran zabrać? Żadnej – odpowiedziałem.*

Przywołuję to wydarzenie – dlaczego? Dlatego, żebyśmy kochani, nie przybierali postawy Marty z dzisiejszej Ewangelii. Krzając się będziemy i troszczyć będziemy się o wiele, ale nie zapomnijmy, że ciągle ważne jest to, abyśmy mówili, pokazywali, świadczyli, abyśmy – nawet utrudzeni – byli świadectwem historii i zaszczepiania tej historii w pokoleniach, które przychodzą po nas. Nie zabierajmy żadnej odrobiny historii tym, którzy wokół nas wzrastają. Bo wtedy zabierzemy którąś z ran tej kobiety z Radeńca. To jej wiara, jej miłość, jej umiłowanie Kościoła, ale również umiłowanie Ojczyzny daje jej siłę, daje jej moc, pozwala ten czas tak, a nie inaczej zrealizować. Każdy ma pragnienie domu. Jakie pragnienie domu dziś my mamy? Patrząc na Orłęta z roku 1918 i 1919, patrząc na bohaterów drugiej wojny światowej, na bohaterskie nasze rodziny podejmujące trud i budowanie nowego domu z rozdartym sercem i tęsknotą, jakie pragnienie budowania domu, jaki ten obraz zostawimy patrząc na tych, którzy w latach komunizmu nie pozwolili pogrzebać wiary, Ojczyzny, miłości, prawdy i honoru? Jaki dom my dziś zbudujemy? Gdy będą nas pytać, po co tu jesteśmy, gdy będą mówić *Zostańcie w domu?* Czy będziemy potrafili postawić im pytanie: *Którą z ran chcesz mi zabrać, czego chcesz mnie pozbawić, której części mego życia, mej historii, prawdy, mojej wiary i miłości do nowej ojczyzny chcesz mnie pozbawić?* Obyśmy nie pozbawili się żadnej części, bo wtedy będziemy bohaterami XXI wieku. Bohaterami prawdy, odwagi, bohaterami na grobowcach, na których będzie można wypisać: „Semper fidelis” – zawsze wierny, tak jak zawsze wierny w tym zawołaniu jest Lwów i daj Boże, żeby byli lwowiacy. Amen.

* ks. prof. Józef Wołczański

MODLITWA WIERNYCH

**Msza Święta w Bazylice Mariackiej
w Krakowie, 22 listopada 2012**

Boże, Ojcze Nasz – gromadzi nas tu w Bazylice Mariackiej 94. rocznica bohaterskiej Obrony Lwowa. Przyjmij, Panie, ofiarę życia lwowskich dzieci i młodzieży, złożoną na Ołtarzu Ojczyzny. Ty, który jesteś Źródłem Pokoju i Jedności, spraw, aby zniknęła złość i nienawiść między ludźmi.

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie!

Boże, przyjmij modlitwę Twoich dzieci, rozproszonych po całym świecie, urodzonych na Ziemiach Utraconych. Przyjmij do Swej Chwały tych, którzy oddali życie za Ojczyznę.

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie!

Boże Wielki – pamiętając zasługi Twoich Świętych – Stanisława i Wojciecha – Patronów Polski, Kazimierza Królewicza, patrona Litwy, Jozafata i Jacka Odrowąża – Patronów Rusi, Apostołów Słowian – Cyryla i Metodego, Męczennika Andrzeja Bobolę – wybaw nas od zwątpienia, nienawiści, niezgody i wszelkiej złej woli. Daj moc Kapłanom wobec zagrożeń.

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie!

Ziemie Kresowe zrodziły wielu Ludzi Bożych – gorliwych kapłanów, zakonnic i zakonników, ludzi świeckich. Wierzymy, że Błogosławiony Jakub Strzemię i Święty Jan z Dukli – Patroni Lwowa, czuwają nad miastem i Archidiecezją Lwowską. Święci – Arcybiskup Józef Bilczewski – budowniczy kościołów, ksiądz Zygmunt Gorazdowski – opiekun ubogich, błogosławiona Marcelina Darowska z Jazłowca, błogosławiona Maria Antonina Kratochwil ze Zgromadzenia Sióstr de Notre Dame, błogosławiona siostra Marta Wiecka – pielęgniarka pracująca w Śniatynie, to bezcenne perły zrodzone przez tę Ziemię. O wyniesienie na Ołtarze ludzi świętobliwych –

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie!

Boże, wspomnij też na zasługi niezłomnego Sługi Bożego Biskupa Rafała Kier-

nickiego, zesłańca na „nieludzką ziemię”, wieloletniego proboszcza lwowskiej Katedry, który wiele wycierpiał służąc zarówno rzymskim katolikom, jak i Cerkwi Grekokatolickiej.

O Niebieską Nagrodę dla Niego –
Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Duchu Święty, daj siłę i moc biskupom, kapłanom, siostram i braciom zakonnym, podejmującym pracę na Kresach. Prosimy, aby Polacy żyjący na ziemi rodzinnej mogli modlić się w kościołach w języku swoich ojców, aby zachowali wiarę rzymskokatolicką i tożsamość narodową. Otocz opieką lwowski kościół św. Marii Magdaleny, który wciąż użytkowany jest jako sala organowa. Aby parafianie odzyskali swój kościół –

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie!

Boże Wielkiego Miłosierdzia, przyjmij nasze modlitwy w intencji ludzi, którzy pracowali, a często oddawali życie za ukochany Lwów. Wspominamy Józefa Bobrowskiego z Energopolu, z wdzięcznością za odbudowanie Cmentarza Obrońców Lwowa, i niedawno zmarłego Eugeniusza Cydzika – zesłańca, obrońcę polskość Kresów, strażnika Cmentarza Orłąt, opiekuna polskich mogił. Przyjmij do Swego Królestwa Andrzeja Przewoźnika – Sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, tragicznie zmarłego w katastrofie smoleńskiej, stróża i obrońcę śladów polskość na Kresach.

O Wieczną Nagrodę dla nich –
Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Matko Boża Łaskawa – Opiekunko Miasta Lwowa, Królowo Korony Polskiej – wielbi Cię Ziemia Lwowska, Stanisławowska, Tarnopolska, oddając cześć w licznych sanktuariach nawiedzanych przez pobożny lud w Kochawinie, Sokalu, Podkamieniu, Rudkach, Jazłowie, Żółkwi, Czortkowie.

Maryjo, Matko Boża – módl się za nami!

My, wygnani z miast, miasteczek i wsi kresowych, modlimy się do Ciebie, Matko, słowami pieśni: Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa – Maryjo! Pani nasza i Królowo – Maryjo! Uciekamy się do Ciebie – bądź nam Matką tu i w Niebie, Maryjo!

Modlitwę przygotowała Marta Walczewska

W sobotę, 29 grudnia 2012 roku zmarł Abp. Ignacy Tokarczuk

Urodził się w 1918 r. w Łubiankach Wyższych k. Zbaraża. Po maturze złożonej w Gimnazjum w Zbarażu wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie. Studia odbywał na Wydziale Teologicznym UJK. Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu miasta przez sowietów kontynuował studia tajnie w konspiracyjnym seminarium. Świecenia otrzymał w czerwcu 1942 r. we Lwowie z rąk biskupa sufragana Eugeniusza Baziaka. Podjął pracę jako wikariusz w parafii Złotniki, gdzie 22 lutego 1944 cudem uniknął śmierci z rąk OUN-UPA. Po przejeździe do Lwowa pracował w parafii św. Marii Magdaleny. Po powtórny zagarnięciu Lwowa przez sowietów, w listopadzie 1945 r. został ekspatriowany do Katowic, gdzie został wikariuszem w parafii Chrystusa Króla.

W latach 1946–51 odbył studia na KUL, uwieńczone doktoratem z filozofii. Przez rok był asystentem na Wydziale Filozofii KUL. W związku ze wzmagającymi się represjami komunistycznymi wyjechał do Olsztyna, gdzie był wykładowcą w tamtejszym Seminarium Duchownym i równocześnie pomagał w duszpasterstwie. W latach 1954–57 był proboszczem w Gutkowie, a następnie duszpasterzem akademickim. W 1962 r. powrócił do Lublina, gdzie został adiunktem Teologii Pastoralnej KUL.

W 1965 r. został mianowany na biskupa przemyskiego. Konsekracji udzielił mu ks. Prymas, kardynał Stefan Wyszyński. Jako zawołanie biskupie przyjął słowa „Deus Caritas” (*Bóg Miłością*). W 1967 r. wszedł w skład Komisji Głównej Episkopatu Polski, a od 1975 należał do Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Ogólnego i Komisji Budowy Kościołów. Przewodniczył Komisji „Iustitia et Pax”. Papież Jan Paweł II obdarzył Go w 1991 r. godnością arcybiskupa *ad personam*, a w 1992 r. podniósł do rangi arcybiskupa metropolity przemyskiego.

Władze komunistyczne uważały Go za jednego z głównych swoich przeciwników, obok kardynałów S. Wyszyńskiego i K. Wojtyły. Podczas trwających 28 lat rządów w diece-



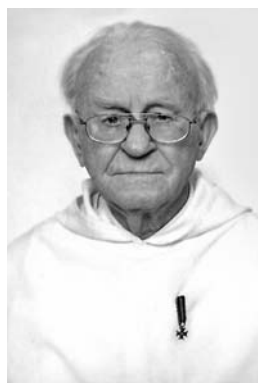
► zji przemyskiej I. Tokarczuk rozwinął szeroką działalność duszpasterską i organizacyjną. Została poważnie rozbudowana sieć parafialna – powstało ponad 220 nowych parafii. Wybudowano bez zezwolenia władz ok. 200 kościołów parafialnych i ok. 170 filialnych. W Przemyślu został wzniesiony z Jego inicjatywy nowy gmach seminarium. Zreformował studia teologiczne. W 1978 r. pomnożył znacznie liczbę dekanatów, reaktywowano kapituły kolegiackie w Jarosławiu i Brzozowie.

W 1993 r. papież Jan Paweł II przyjął rezygnację ks. abpa Tokarczuka z urzędu.

Pozostał On najstarszym polskim biskupem. Zmarł w sobotę 29 grudnia 2012 r.

Powyższy komunikat nadesłał nam p. Stanisław Szarzyński (z Przemyśla?), serdecznie dziękujemy.

Tekst podajemy z pewnymi skrótami, ponieważ w następnym numerze CL ukaże się omówienie książki M. Krzysztofińskiego pt. „Rozmowy z Abp. Ignacym Tokarczukiem”, wydanej jeszcze za życia Ks. Arcybiskupa i przygotowanej wcześniej przez nas do druku w CL. Z rozmowy tej dowiadujemy się wielu szczegółów z życia Arcybiskupa.



Przed pięcioma laty odszedł

śp. o. ADAM Franciszek STUDZIŃSKI

dominikanin, kapelan spod Monte Cassino, generał brygady Wojska Polskiego. Urodzony w 1911 r. w Strzemieszynie k. Żółkwi, zmarł 2 kwietnia 2008 w Krakowie.

Był współzałożycielem i opiekunem duchowym naszego środowiska emigranckiego w Krakowie. Dzięki Niemu spotykaliśmy się co miesiąc przez 30 lat w gotyckich podziemiach klasztoru dominikańskiego. Teraz, po pięciu latach bez Niego – musimy je opuścić. Pozostaną serdeczne wspomnienia.

Wspomnienie pośmiertne o Ojcu Adamie zamieściliśmy w CL 2/08, a rozmowy z Nim w CL 3/96 i S/99.

LIST DO MARSZAŁKA SEJMU RP

Stowarzyszenie Kresowian
w Dzierżoniowie, 24.11.2012

Szanowna Pani Marszałek!

Stowarzyszenie Kresowian w Dzierżoniowie wyraża stanowczy protest przeciwko uchwale Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych w Sejmie RP z dnia 8 listopada 2012 roku w sprawie akcji „Wisła”. Miron Sycz, przewodniczący Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, wykorzystał swoje stanowisko w celu przeprowadzenia rehabilitacji zbrodniczej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii oraz własnego ojca Aleksandra, który był członkiem najbardziej krwawej sotni Żelazniaka. Ojciec Mirona Sycza za zbrodnie przeciwko Polsce został skazany przez polski sąd na karę śmierci, którą w drodze łaski zamieniono na karę 15 lat więzienia.

Operacja „Wisła” podjęta została w sprawie wyższej konieczności, wynikającej z potrzeby przerwania ludobójstwa. Nie był to wyrok na ukaranie niewinnych, była to akcja zapobiegająca dalszemu rozlewowi krwi. O tym powinniśmy pamiętać. Winę za przymusowe przesiedlenie ludności ukraińskiej na Ukrainę oraz decyzja o realizacji operacji „Wisła” ponosi Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów frakcji Bandery, do której ukraińska mniejszość narodowa w Polsce powinna kierować swoje ewentualne pretensje. Potwierdzenie takiego stanowiska można znaleźć nawet wśród ukraińskich historyków. Należy tu wymienić pracę naukową dr. hab. Wiktora Poliszczuka pt. *Gorzka prawda*, w której szczegółowo, bez zniekształceń opisał zbrodnie UON-UPA. Brak jest więc podstaw do tego, aby władze RP potępiły operację „Wisła”, która była wymuszona zbrojną akcją OUN-UPA, zagrażającą stabilizacji państwa polskiego.

Wielką szkodę i ból środowisku kresowian wyrządził już Senat RP, przyjmując uchwałę potępiającą akcję „Wisła”. Uchwała ta doprowadziła do występowania mniejszości ukraińskiej z roszczeniami finansowymi.

Do sądu w Strasburgu wpłynął pozew o odszkodowanie za przesiedlenie. Senackie potępienie operacji „Wisła” było dowodem „zbrodni” popełnionej przez Polskę. Znalazło to swoje odbicie w ramach obchodzonego przez Światowy Kongres Ukraińców w Przemyślu 65-lecia operacji „Wisła”, gdzie wylewano wiele łez na Polskę. Wobec powyższego, ośmielamy się zadać zasadnicze pytanie: dlaczego milczą władze Wolnej Polski? Czy poprawność polityczna wymaga takiego postępowania? Polityka poprawności politycznej przynosi tylko szkody. Z poprawnością jest podobnie jak z tolerowaniem przemocy. Albo radykalnie zwalczamy wszystkie przejawy przemocy, albo po cichu zgadzamy się na nią. Jeżeli nie reagujemy, to później nie załamujemy rąk, kiedy coś się wydarzy. Proponujemy reagować już teraz, bo jeszcze nie jest za późno.

Wielki niepokój środowisk kresowych budzi fakt, że w ostatnich wyborach do parlamentu ukraińskiego do głosu doszła nacjonalistyczna, antypolska partia „Swoboda”, wprowadzając do parlamentu 37 swoich członków. Czy władz RP nie niepokoi ten fakt?

W związku z powyższym społeczność kresowa ziemi dzierżoniowskiej zwraca się z uprzejmą prośbą o zablokowanie uchwały potępiającej operację „Wisła”, bowiem wymaga tego poszanowanie prawdy historycznej oraz polska racja stanu.

Z wyrazami szacunku
Edward Bień, Florian Kuriata
Stowarzyszenie Kresowian w Dzierżoniowie

Oddział krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz redakcja kwartalnika „Cracovia-Leopolis” w pełni popierają stanowisko Stowarzyszenia Kresowian w Dzierżoniowie, czemu dali wyraz występując w tej sprawie do Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu.

Adam Wierciński

Kresomania wyobrażona?

Profesor Daniel Beauvois, dr h.c. kilku polskich uniwersytetów, autor ważnych i cenionych książek o szkolnictwie na ziemiach litewsko-ruskich w XIX wieku i o społeczeństwie polskim na Rusi w XIX wieku, który tyle wie i tyle rozumie, który stara się poznać wczorajsze i dzisiejsze racje Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców i Rosjan, zaczął opatrywać swoje wznawiane ostatnio książki obszernymi wstęпами. Publicysta czasem bierze w nim górę nad sumiennym badaczem.

We wstępie do wydanej pod zmienionym tytułem pionierskiej rozprawy o szkolnictwie na ziemiach wschodnich Polski historycznej napisał on: *Pojawiła się moda na tematykę kresową, która później miała się rozwinąć do rozmiarów kresomanii. (...) Dziesięć lat później (po 1980 roku – A.W.) w literaturze polskiej, oficjalnej czy podziemnej, już się roilo od upiękuszonych wizji, „wyobrażonej wspólnoty” dawnych czasów, cudownej Rzeczypospolitej, w której w niekwestionowany sposób wielonarodowościowa, wielowyznaniowa, wielojęzyczna masa ludzi czuła się bezpiecznie pod skrzydłem polskości. I jeszcze: W Polsce literaturoznawcy i „kresolodzy” nieustannie idą swoją drogą dość oddaloną od historii („Wilno – polska stolica kulturowa zaboru rosyjskiego 1803–1832”)*.*

Kresomania? A mnie się wydawało, że częściej od upiękuszonych wizji można znaleźć przykłady analfabetyzmu kresowego. Książki o ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, jakie pojawiły się ostatnio po tylu latach przemilczeń, to tylko próba spłacania długu pamięci, próba przywracania tylu miejsc i postaci ważnych nie tylko dla kultury polskiej. A że oprócz prac rzetelnych badaczy pojawiają się próby mitologizacji, to już inna sprawa. Po co grzeszyć uogólnieniem?

Ale kresomania? W podręcznikach wydanych przez wydawnictwo Stentor – *Romanizm. Podręcznik dla szkół ponadpodstawowych* (osiem wydań w latach 1994–2001) autorka z uporem powtarzała, że Krzemieniec,

miasto Słowackiego, leży na Podolu! Wołyn czy Podole, kto by tam rozróżniał. Ani jeden uczeń, ani jeden nauczyciel nie nadesłał sprostowania. Kto by pamiętał jakieś Ateny Wołyńskie. Nawet profesor historii potrafi dziś przenieść Kamieniec Podolski przez Zbrucz do zaboru austriackiego. Autorowi artykułu zamieszczonego w *Księdze Kresów Wschodnich* też zdarzyło się napisać: *Kamieniec to najczęściej po Lwowie odwiedzane przez turystów miasto Galicji Wschodniej (sic!)**. Worochtę, miasto na Huculszczyźnie, za szybko piszący dziennikarze potrafią pomylić z Workutą! Uczona pani szukała już kilka razy ojczyzny domowej Orzeszkowej na kresach północno-zachodnich! Ogłaszała to w poważnych książkach naukowych. A ile zmyśleń można znaleźć w *Encyklopedii Kresów*, Kraków (bez roku wydania).

Taka to i kresomania. Lata przemilczeń wpłynęły na postępujący analfabetyzm kresowy. Cóż z tego, że ukazało się tyle książek, tyle wspomnień, tyle drobniejszych tekstów o ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Ileż zostało białych plam, ileż spraw i rzeczy wypadło z pamięci zbiorowej. Miał rację Mirosław Żuławski, kiedy pisał kilkanaście lat temu: *W ostatnich latach Lwów znów wraca do Polski, to znaczy odnajduje swoje miejsce w jej historii, kulturze i nauce. Jeszcze może nie w pełni, bo dzięki wszechpotężde mass mediów, z których już radio wówczas istniało, więcej się wie o Szczepku i Tońku niż o lwowskich gigantach nauk i sztuk, takich jak Stefan Banach, Jan Czekanowski, Leon Chwistek, Kazimierz Twardowski, Roman Ingarden, Kazimierz Ajdukiewicz, Rudolf Weigl. Na razie – o paradoksie! – w pełni powrócił Cmentarz Łyczakowski i „Wesoła Lwowska Fala”****.*

Wprawdzie pojawiły się ostatnio wartościowe prace o „lwowskich gigantach nauk”, takie jak choćby *Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1946* (Kraków 2007) Jana Drausa czy *Lwowska szkoła matematyczna* (Wrocław 2007) Romana Dudy, ale tyle jeszcze tematów czeka na wnikliwych badaczy.

Książka Daniela Beauvois, wznowiona przez Wydawnictwo Uniwersyteckie we Wrocławiu, w mieście, które przez tyle lat podtrzymywało tradycje kulturalne dawnego Lwowa, też może służyć jako przykład postępującego analfabetyzmu kresowego.

przypisy na s. 60

Po Haliczu – OD SZEŚCIU WIEKÓW WE LWOWIE

W minionym roku Kościół rzymskokatolicki we Lwowie przeżywał wielki jubileusz: 600-lecie ustanowienia naszego Miasta stolicą metropolii łacińskiej, drugiej w Polsce po gnieźnieńskiej. Wcześniej siedzibą łacińskiego biskupstwa i metropolii na ziemiach południowo-wschodnich był Halicz.

Przypomnijmy pokrótce tę historię¹.

Ziemia średniowiecznych prapolskich Lachów-Lędzian, na której miał powstać Lwów², została w 981 r. najechana i zajęta przez ruskiego władcę kijowskiego Włodzimierza, zwanego Wielkim, a bezpośrednią przyczyną najazdu było parcie Tatarów na Ruś, lecz także ambicje Włodzimierza – ku Bałkanom i Bizancjum³. Zachodniosłowiańska, lędziańska, prapolska ludność uległa na tych ziemiach wyniszczeniu lub wypędzeniu na wschód. Pozostały po niej osady powstałe wcześniej – później znane jako Przemyśl (VIII w.)⁴, Lwów, Chełm i inne – założone w miejscach dogodnych do życia i obrony. Teraz zaludniła je ludność ruska, uciekająca ze wschodu przed najazdami tatarskimi. Ruskie panowanie nad Ziemią Czerwieńską utrzymało się przez ok. trzy i pół wieku. W tym czasie jednak było kilka prób odzyskania tych ziem dla Polski, skuteczne jednak



Gotycka katedra łacińska we Lwowie – przed przebudowami za czasów renesansu i baroku

stało się dopiero działanie króla Kazimierza Wielkiego.

Ziemie te pod władaniem ruskim miały dwie stolice książęce: Halicz i Włodzimierz (stąd *Galicia-Lodomeria*). Równocześnie jednak powstawały i rozwijały się inne osiedla, nieposiadające zrazu cech miejskich). Dalsze najazdy tatarskie w XIII w. skłoniły władcę halicko-włodzimierskiego Daniela do założenia nowej siedziby książęcej, usytuowanej dalej na zachód i korzystnie ukrytej, a zarazem korzystnie usytuowanej z punktu widzenia komunikacji i handlu. Znalaziono takie idealne miejsce wśród wzgórz Roztocza, położone blisko skrzyżowania dróg kupieckich zachód-wschód⁵ i północ-południe, zapewne wcześniej zamieszkałe i wykorzystywane przez usuniętą stąd ludność lędziańską⁶. Na stoku największej góry osłaniającej tu dolinę (od północy) z kilkoma potokami Daniel wznosił gródek, a poniżej rozbudował się drewniane osiedle⁷ nazwane *Lwowem*⁸. Po powrocie Polski góra ta zyskała nazwę *Góry Zamkowej*⁹. Lwów, jako siedziba lokalnego władcy i korzystnie położony, rozwinął się szybko.

Wróćmy jednak do Halicza. Ponieważ gród ten był – przed Lwowem – siedzibą ruskiego księcia, powstała tu w połowie XII w. eparchia prawosławna, a potem metropolia. Do Halicza i tamtej ziemi napłynęło dużo ludności różnych narodowości¹⁰, tak że książę zezwolił na zakładanie – obok cerkwi i monasterów prawosławnych – również świątyń innych wyznań, przede wszystkim katolickich. Równocześnie z Polski przybywali misjonarze, głównie dominikanie (m.in. Jacek Odrowąż). Powstały pierwsze kościoły – w Haliczu, Przemyślu, Lwowie, Włodzimierzu. Okazała się więc potrzeba ustanowienia katolickiego biskupstwa. Pierwszym biskupem łacińskim działającym w Haliczu mianowała Stolica Apostolska ok. 1232 r. Gerarda, opata cystersów z Opatowa. Do tego stanowiska zapretendowali też biskupi lubuscy¹¹, zależni od Niemców, którzy ich ze względów politycznych popierali. W celu przeciwstawienia się tej sytuacji król Kazimierz Wielki¹² utworzył formalną diecezję w Haliczu. Na jej czele stanęli kolejno franciszkanin Krystyn (1367), potem Andrzej, biskup z Mołdawii, Polak. Dopiero w 1375 r. papież Grzegorz XI bullą ustanowił w Haliczu

metropolię z biskupstwami w Przemyślu, Chełmie i Włodzimierzu.

Mimo że stolicą metropolitalną mianowano Halicz, Lwów stawał się coraz bardziej ogniskiem życia kościelnego w archidiecezji. Tu, jeszcze przed rokiem 1375, znalazły się główne siedziby „braci wędrujących”, Dominikanów i Franciszkanów z kościołem Matki Boskiej Śnieżnej, ale także katolickiego biskupa ormiańskiego, który rezydował przy kościółku św. Jana Chrzyciela¹³. Równocześnie Halicz podupadał i przestał być faktyczną stolicą tej ziemi. W konsekwencji arcybiskupi łacińscy halińscy obrali Lwów jako swą siedzibę, ale aż do roku 1414 musieli się tytułować arcybiskupami halińskimi. W latach 1375–1414 archidiecezją rządziło we Lwowie czterech kolejnych arcybiskupów halińskich: Maciej z Egeru, Bernard, Jakub Strzeżmie (Strepa) i Mikołaj Trąba. Do historii weszła w szczególności postać błogosławionego (od 1790) Jakuba Strzeżmiego¹⁴, ogłoszonego w 1909 r. patronem archidiecezji lwowskiej.

Faktyczne przeniesienie stolicy metropolii z Halicza do Lwowa nastąpiło w 1412 r. Stało się to po usilnych staraniach ostatnich arcybiskupów halińskich – przede wszystkim Mikołaja Trąby – a także króla Władysława Jagiełły. Wznoszony gotycki kościół parafialny nowego miasta budowanego przez króla Kazimierza Wielkiego stał się odtąd lwowską katedrą arcybiskupią. Ingres nowego arcybiskupa Jana Rzeszowskiego do katedry odbył się jednak w 1414 roku i tę datę przyjmuje się jako faktyczną.

Poczynając od Jana Rzeszowskiego aż do obecnego abpa Mieczysława Mokrzyckiego, historia metropolii lwowskiej obejmuje 41 arcybiskupów. Poprzedziło ich 4 arcybiskupów halińskich, łączna więc liczba wynosi dotąd 45.

We wrześniu 2012 roku odbyły się we Lwowie centralne uroczystości 600-lecia metropolii lwowskiej. W tym celu przybył do Lwowa kardynał Józef Tomko (Słowak), wysłannik papieski¹⁵. Równocześnie z uroczystością odbył się Międzynarodowy Kongres Historyczny „Sescendi Anni” (Sześćset lat). W swoim liście wystosowanym z okazji Sześćsetlecia prezydent Ukrainy Janukowicz napisał, że *...historia Ukrainy jest ściśle związana z Kościołem rzymskim, którego teologia i kultura w sposób szczególny*

wzbogaciła duchowe dziedzictwo Ukrainy. „W sposób szczególny dziękuję Kościołowi lwowskiemu, który dzięki swemu zaangażowaniu dał podwaliny do duchowego rozwoju wiary we wspólnotach, umocnieniu chrześcijańskich wartości, dobra i sprawiedliwości oraz otworzył drogę do służby społeczeństwu”. Bardzo piękne orędzie skierował do wiernych papież Benedykt XVI.

Liturgię dziękczynną, która stanowiła apogeum uroczystości 600-lecia, poprzedziła procesja przez miasto z relikwiami bł. Jakuba Strzeżmiego, patrona archidiecezji lwowskiej. W czasie mszy św. homilię wygłosił kard. Tomko.

Ogłoszono, iż proboszcz lwowskiej katedry ks. Jan Nikiel został podniesiony do godności prałata¹⁶. Serdecznie gratulujemy awansu! Szczęść Boże.

Andrzej Chlipalski

PRZYPISY

- ¹ Opieramy się w części na pracy prof. Władysława Abrahama pt. *Początki Arcybiskupstwa Łacińskiego we Lwowie* (Biblioteka Lwowska, tom VII, nakładem Tow. Miłośników Przeszłości Lwowa, 1909); pracy Krzysztofa R. Prokopa *Arcybiskupi halińscy i lwowscy*; wyd. „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec–Ostróg 2010; a także na opracowaniach prof. M. Parczewskiego i Ł. Walczego, opublikowanych m.in. w CL (patrz niżej).
- ² Grody Czerwieńskie, Ziemia Czerwieńska, późniejsza Małopolska Wschodnia. Aneksja dotyczyła również Wołynia.
- ³ F. Koneczny, *O pierwotnej polskości Ziemi Chełmskiej i Rusi Czerwonej*, patrz CL 4/05, 1/06.
- ⁴ L. Hauser, *Monografia miasta Przemyśla*, patrz CL 1/03.
- ⁵ Tzw. „wysoka droga” – pisze o niej P. Krasny, CL 2/2006.
- ⁶ Byli to niewątpliwie prapolscy Łędzianie, o których pisze prof. M. Parczewski (CL 2/2006), potem Wiślanie (Ł. Walczy, CL 2/2004), wypędzeni na wschód przez następców Włodzimierza Wielkiego.
- ⁷ określane na wyrost jako miasto
- ⁸ Istnieje kilka wersji co do pochodzenia tej nazwy. W Europie było szereg miast o nazwie związanej z lwem.
- ⁹ Król Kazimierz Wielki wznosił na szczycie góry tzw. *Wysoki Zamek*, w odróżnieniu od *Niskiego*, zbudowanego przy nowym mieście kazimierzowskim.
- ¹⁰ Mądry książę Daniel doceniał, że dla podniesienia kultury podległego mu kraju niezbędne

dokończenie na s. 60

HISTORIA

POWSTANIE STYCZNIOWE I LWÓW

Rok 1863. W zaborze rosyjskim wybucha polskie powstanie przeciw carskiej Rosji, nazwane przez potomnych Powstaniem Styczniowym. Lwów i ówczesna Galicja – podobnie jak ziemie zaboru pruskiego – nie były bezpośrednio związane z walkami w Powstaniu, które toczyło się na ziemiach zaboru rosyjskiego od 22 stycznia 1863 r. do – jak się przyjmuje – 5 sierpnia 1864 r.*. Uczestnicy Powstania – ci, których ominęła śmierć w walkach z carskim wojskiem oraz na stokach warszawskiej Cytadeli – zostali w ogromnej części wywiezieni na Sybir, jednak pod koniec lat 60. rozpoczęły się powroty. Część sybiraków osiadła więc w Galicji, w głównej mierze we Lwowie. Tu zostali otoczeni opieką lwowskiego społeczeństwa.

Mijały lata. Młodzi ludzie, którzy walczyli w Powstaniu, stawali się powoli starcami. Część z nich doczekała Niepodległości po I wojnie światowej, ale już u schyłku lat dziewięćdziesiątych XIX w. okazało się konieczne stworzenie odpowiednio godnego miejsca pochówku dla Powstańców Styczniowych. Władze miejskie Lwowa wydzieliły wtedy takie miejsce na najwyższej części Cmentarza Łyczakowskiego, nazwane przez lwowian Górką Powstańców. Wejście na tę kwatere, zawierającą 230 grobów, nagrobków, pomników, zdobi nagrobek jednego z bohaterów, Szymona Wizunasa Szydłowskiego. Omawiana kwatera oczekuje obecnie na odbudowę i konserwację nagrobków, grobów, krzyży.

Pokazujemy dwie ilustracje, wiążące Powstanie Styczniowe ze Lwowem. Pierwsza to reprodukcja obrazu „Bitwa” z cyklu „Polonia” Artura Grottgera, lwowianina, najważniejszego twórcy cyklu obrazów dokumentujących dramata Powstania. Druga pokazuje wejście na teren Góry Powstańców, która stała się główną nekropolią powstańczą.

Na marginesie: warto zwrócić uwagę na niezwykle ciekawy artykuł prof. Andrzeja Nowaka z Krakowa pt. *Powstanie Styczniowe. Obrazy polskiej pamięci*, zamieszczony w pierwszym numerze nowego tygodnika „Do rzeczy”**.

* Jako epilog styczniowego zrywu uważa się powieszenie na stokach Cytadeli w Warszawie Romualda Trautgutta i innych członków Rządu Narodowego.

** Nr 1 z 25 I '13. Tygodnik ten, tak jak i drugi – „W sieci” – zostały założone przez redaktorów i publicystów z dotychczasowego „Uważam Rze”.



Anna Borkiewicz-Celińska

Początki skautingu na ziemiach polskich

Poniższe opracowanie ukazało się w czasopiśmie „Więź” nr 10/1978.

Harcerstwo zapoczątkowane na ziemiach polskich około 1910 roku, będąc ruchem młodzieżowym opartym na wzorach niewiele wcześniej, bo w latach 1907–1908 powołanego przez Baden-Powella skautingu w Wielkiej Brytanii, od pierwszej chwili swego istnienia cechuje wprawdzie wychowanie w duchu patriotycznym i religijnym, ale jednocześnie silnie akcentuje apolityczność i niewojskowy charakter organizacji. Dlatego też harcerstwo polskie uważane było, zwłaszcza w zaraniu swego istnienia, za *sui generis* odszczerpienie od „czystego” skautingu.

Z zasadami ruchu skautowego zapoznał szerzej społeczeństwo polskie Andrzej Małkowski, wydając w roku 1911 książkę pt. *Skauting jako system wychowania mło-*

dzieży. On to właśnie kierował pierwszym kursem skautingu we Lwowie w roku 1911, a także był pierwszym redaktorem pisma „Skaut”. Rola Andrzeja Małkowskiego nie była jednakże dla początku skautingu tak decydująca, jakby się na pozór wydawało. Przede wszystkim, dla ścisłości, należy wspomnieć, iż tym, kto pierwszy zasygnalizował społeczeństwu polskiemu o powstałej przed rokiem organizacji młodzieżowej w Anglii, był wybitny anglofil, Edmund Naganowski, drukując w wychodzącym we Lwowie „Słowie Polskim” dnia 16 IX 1909 roku artykuł pod dziwnym tytułem *Bi – bi i* w dniu następnym 17 IX *Bi – es*. Naganowski informację, a także podręczniki o ruchu skautowym otrzymał wprost od jego twórcy, gen. Baden-Powella. Podręczniki te doręczył koledze redakcyjnemu Stanisławowi Biedzie, ten zaś oddał je Mieczysławowi Neugebauerowi, wówczas działaczowi Polskiego Związku Wojskowego¹, który miał je przetłumaczyć na użytek Stowarzyszenia Gimnastycznego Sokół². Z tłumaczeniem były kłopoty. Andrzej Małkowski, także członek Polskiego Związku Wojskowego, spóźnił się kiedyś na kurs instruktorski PZW – zamiast kary otrzymał rozkaz przetłumaczenia książki Baden-Powella³. Z tłumaczeniem jednak zwlekał i dopiero ponowne wykroczenie w czasie ćwiczeń taktycznych w terenie spowodowało areszt domowy, który jednak w ramach rehabilitacji zamieniono tym razem na stanowczy już nakaz przetłumaczenia dzieła *Scouting for Boys* do 15 kwietnia 1910 roku. Wiosną 1911 książka była już wydrukowana i w kwietniu tegoż roku w Brzuchowicach pod Lwowem Małkowski wraz z Neugebauerem prowadzili kurs instruktorski dla – konspiracyjnego jeszcze wówczas – skautingu⁴. Rozważaliśmy – wspomina jeden z uczestników – czy polskiej organizacji skautowej nie nadać nazwy Polskich Wywiadowców, zamiast obcej – skautowej⁵.

Z tego pierwszego kursu skautowego, w którym brało udział około 200 słuchaczy płci obojga, uformowały się we Lwowie 4 pierwsze drużyny skautowe: pierwsza – im. Tadeusza Kościuszki (drużynowy – Czesław Pieniążkiewicz), druga – im. hetmana Karola Chodkiewicza (drużynowy – Franciszek Kapałka), trzecia, żeńska, im. Emilii Plater (drużynowa – Olga Drahonowska, później Małkowska), oraz czwarta – im. Lu-



dwika Mierosławskiego (drużynowy – Mieczysław Neugebauer)⁶.

Ze Lwowa idea skautowa bardzo szybko przeniknęła do innych miast i dzielnic, objęła przede wszystkim całą Małopolskę i Śląsk Cieszyński, przeszła do Warszawy⁷ i do zaboru pruskiego: Poznania, Gniezna, Gostynia, Śremu, Kościana, a także na Wileńszczyznę. Tam jednak, podobnie jak w Królestwie i zaborze pruskim, skauting musiał działać jako organizacja tajna⁸.

W zaborze austriackim, w którym pod względem politycznym wytworzyła się najdogodniejsza sytuacja do organizowania różnego typu kół młodzieżowych i stowarzyszeń (ze względu na swą strukturę wielonarodowościową Austria musiała od początku ery konstytucyjnej prowadzić wobec Polaków bardziej liberalną politykę niż Prusy i Rosja carska), w 1912 roku, według pobieżnych obliczeń, istniało już 59 drużyn męskich ze stanem 3300 skautów oraz 5 drużyn żeńskich ze stanem 284 skauetek. W rok później było tamże 116 drużyn męskich, obejmujących 5800 skautów i 232 osoby kadry, oraz 22 drużyny żeńskie, obejmujące 804 dziewczęta i 46 osób kadry⁹.

Tak więc idea skautowa przyjęła się na ziemiach polskich zdumiewająco szybko. Jeszcze nie wybuchła pierwsza wojna światowa, a już polscy skauci ze wszystkich trzech zaborów wystąpili jako reprezentacja polska pod polską flagą na zlocie skautów brytyjskich w 1913 roku w Birmingham, przypominając tym samym światu o istnieniu Polski.

Cóż było powodem tak dynamicznego rozwoju organizacji skautowej na ziemiach polskich?

Bez wątpienia czasy zapowiadające wielkie zmiany w Europie i w ogóle w świecie. Niemal od początku wieku XX gromadziły się w Europie punkty zapalne, które nieuchronnie prowadziły do wielkiej wojny. I wiadomo było, że w wojnie tej Niemcy i Rosja staną przeciwko sobie, co stwarzało zupełnie nowe możliwości dla sytuacji Polski. Społeczeństwo polskie we wszystkich trzech zaborach nie tylko czujnie śledziło narastający bieg wypadków. Od początku XX wieku zaczęło się rozwijać bujne życie polityczne, które najszerzym kręgiem objęło przede wszystkim młodzież. Związek Młodzieży Polskiej, tzw. popularnie „Zet”, pod-

porządkowana mu organizacja młodzieży szkół średnich „Przyszłość”, tzw. popularnie „Pet”, „Sokół”, „Eleusis”, „Zarzewie” – oto niektóre tylko nazwy młodzieżowych organizacji przedskautowych. Działalność ich skupiała się głównie we Lwowie (ze względu na warunki polityczne, dopuszczające jawność lub półjawność działania różnych stowarzyszeń), jednakże ekspozytury tych organizacji czynne były także w Królestwie, przede wszystkim w Warszawie.

Organizacje te z chwilą powstania skautingu nie tylko zasiły spontanicznie jego szeregi, lecz również, jak np. „Sokół Macierz” we Lwowie, przyczyniły się do ujęcia harcerstwa w ramy organizacyjne o prawnych podstawach¹⁰. Szczególna rola w tworzeniu początków skautingu przypadła jednak „Zarzewiu”, dlatego należy w niewielu chociażby słowach objaśnić genezę i cele tej organizacji.

Powstała ona na początku roku 1909 i wyłoniła się w zasadzie z „Zetu”. Już w 1907 roku nastąpił w „Zecie” pewien ferment w związku z podjęciem uchwały o zerwaniu stosunków między Ligą Narodową (której „Zet” był podporządkowany od 1887 r.) a „Zetem”. Przyczyną główną było negatywne stanowisko Ligi wobec strajku szkolnego w 1905 roku, który wszak był największym osiągnięciem organizacyjnym młodzieży „zetowej” i „petowej”. Ferment ten nabrzmiewał w roku 1908 w związku z rozwojem sytuacji międzynarodowej (aneksja Bośni i Hercegowiny przez Austrię) i doprowadził ostatecznie do formalnego rozłamu; kilkunastu „zetowców” utworzyło niezależną grupę. Grupa ta, zwana początkowo „niezależnym Zetem”, dość szybko, od tytułu swego pisma, została nazwana „Zarzewiem”¹¹. Akcja i hasła tej grupy – pisze w swym wspomnieniu Eugeniusz Kwiatkowski – odpowiadały widocznie nastawieniu szerokich kół młodzieżowych, skoro, wbrew ostrym atakom prasy narodowo-demokratycznej, wciąż nowe grupy „zetowe” i koła „petowe” zgłaszały swój akces do „Zarzewia”¹². Cóż to była za akcja, jakież to były hasła?

Otóż „Zarzewie”, głosząc potrzebę przygotowania swych członków do walki zbrojnej o niepodległość ojczyzny¹³, przystąpiło do różnego typu prac organizacyjno- i szkoleniowo-wojskowych. A więc przekształcono Polski Związek Wojskowy w znacznie szerszą organizację – „Armia Polska”, a w 1911

roku zorganizowano w zaborze austriackim Polskie Drużyny Strzeleckie. Zwrócono szczególną uwagę na młodzież w szkołach średnich, wśród której idea organizacji ćwiczebno-wojskowej wywoływała największy entuzjazm. Już jesienią 1909 roku, w porozumieniu z władzami „niezależnego” (już wtedy) „Petu”, zarzewiacy powołali tajne tzw. Oddziały Ćwiczebne, których celem było systematyczne szkolenie fizyczno-wojskowe członków „Petu”. Wydano specjalny regulamin, który nakazywał wszystkim członkom organizacji „Pet” brać udział w zajęciach Oddziałów Ćwiczebnych. Każdy z tych oddziałów miał swego dowódcę, którym był starszy kolega, wyznaczony przez miejscową organizację zarzewiacką. Miał także swego patrona – z reguły bohatera narodowego (np. Oddział Ćwiczebny im. Józefa Poniatowskiego w Jarosławiu), którego życiorys winni członkowie danego oddziału nie tylko dobrze znać, ale starać się przyjmować jako wzór do naśladowania w życiu codziennym¹⁴.

Oddziały Ćwiczebne były w prostej linii poprzednikami drużyn harcerskich. Jako organizacja tajna rozwinęły się w roku szkolnym 1909–1910 w całej ówczesnej Galicji wschodniej, a od wiosny 1910 roku zaczęły się rozpowszechniać także w Galicji zachodniej. W tymże roku ustalono sposób zakładania Oddziałów Ćwiczebnych na terenie zboru rosyjskiego: miały one powstawać na bazie istniejącej już Organizacji Wojskowej im. Waleriana Łukasińskiego¹⁵.

Jeszcze przed zapoznaniem się z ideą skautingu działacze „Zarzewia”, chcąc – ze zrozumiałych względów – przedstawić działalność Oddziałów Ćwiczebnych na tory pracy jawnej, prowadzili pertraktacje z organizacją „Sokół” o utworzenie drużyn ćwiczebnych przy „Sokole”. W międzyczasie przyszły pierwsze wiadomości o skautingu i Biega dostarczył wzmiankowane podręczniki Baden-Powella. Tuż przed ukazaniem się książki Małkowskiego dokonano ujawnienia pracy skautowej w „Sokole”, już w marcu 1911 roku odbył się we Lwowie 6-tygodniowy kurs dla instruktorów, na którym pierwszy wykład wygłosił Małkowski¹⁶. A potem wystarczył rozkaz organizacji zarzewiackiej, aby wszyscy stawili się i podporządkowali nowej organizacji skautowej na terenie „Sokoła-Macierzy”¹⁷.

Dokończenie w następnym numerze

PRZYPISY

- ¹ Polski Związek Wojskowy – tajna organizacja utworzona w 1908 r. w Krakowie przez działaczy „Zetu”, w lipcu 1910 r. przekształcona z inicjatywy „Zarzewia” w „Armię Polską”. Pierwszym komendantem „Armii Polskiej” był Mieczysław Neugebauer.
- ² „Sokół” – trójzaborowa organizacja, założona w 1867 r. we Lwowie na wzór czeskiego „Sokoła”, posiadająca tradycję obszernego programu gimnastycznego i społeczno-wychowawczego. Od 1885 r. istniała w zaborze pruskim, od 1905 r. – nielegalnie – w Królestwie Polskim. Przed 1914 r. znajdowała się pod wpływem Narodowej Demokracji.
- ³ Henryk Bagiński, *Początek polskiego harcerstwa [w:] „Zarzewie”, 1909–1920, Wspomnienia i materiały*, oprac. Aleksandra i Andrzej Garliccy, Warszawa 1973, s. 398. Andrzej Małkowski jako członek-założyciel Zetu zarzewiackiego (o którym szerzej wspominam w dalszym ciągu) z obowiązku musiał uczęszczać na kurs instruktorski Polskiego Związku Wojskowego. Był on jednocześnie członkiem stowarzyszeń „Sokół” i „Eleusis” – to ostatnie zorganizował w r. 1902 Wincenty Lutosławski, członek Ligi Narodowej, a celem tegoż było szerzenie wśród młodzieży poczwórnej wstrzeźliwości: od trunków, tytoniu, kart i rozpusty.
- ⁴ Przerabiano na tym kursie praktyczne obozowanie, pionierkę i patrolowanie. Henryk Bagiński, op. cit., s. 414.
- ⁵ Tamże. Podałam wg H. Bagińskiego, op. cit., s. 417.
- ⁷ Właściwie pierwsza drużyna skautowa w Warszawie powstała wcześniej, w październiku 1910 r., na terenie ówczesnego Gimnazjum Wróblewskiego (później Czackiego), zorganizowana przez prof. gimnastyki Edmunda Nebła. Jednakże drużyna ta nie miała wpływu na rozwój harcerstwa na terenie Królestwa. Dopiero wiosną 1911 r. zarzewiacy dostarczyli do Warszawy pierwsze arkusze drukującej się książki Małkowskiego, a w sierpniu tegoż roku Antoni Ostrowski (a właściwie z jego polecenia Stefan Pomarański) zawiązał przy Gimnazjum Rychłowskiego drużynę skautową im. R. Traugutta (późniejsza „jedyńka”), a we wrześniu tegoż roku powstały drużyny przy Gimnazjum Chrzanowskiego (obecnie Jana Zamoyskiego, późniejsza „dwójka”) i przy Gimnazjum Konopczyńskiego (późniejsza „trójka”). Niebawem ruch skautowy objął inne szkoły warszawskie. W. Błażejewski, op. cit., s. 9, 17. W końcu 1912 r., mimo trudnych warunków, działało już w Warszawie 12 tajnych drużyn skautowskich. W. Błażejewski: *Pierwsze kroki*

skautowe w Warszawie, „Więź”, nr 212, s. 125. W innych miastach Kongresówki tajny skauting rozwijał się na skutek osobistych kontaktów studentów i akademików ze Lwowa i Krakowa.

⁸ Jerzy Gaj, *Główne nurty ideowe w ZHP w latach 1918–1939*, Warszawa 1968, s. 36. Systematyczną pracę skautową w Poznaniu zapoczątkowali członkowie towarzystw samokształceniowych „Iskra” i „Ogniwo”; stowarzyszenia te skupiały głównie młodzież rzemieślniczą, a nawet robotniczą, dopiero po pewnym czasie skauting na tym terenie ogarnął młodzież szkolną. W. Błażejowski, *Historia...*, s. 22. Od roku 1912 wprowadziło pracę skautową w całym zaborze pruskim Towarzystwo Tomasza Zana, tajna organizacja samokształceniowa skupiająca młodzież szkół średnich.

⁹ J. Gaj, op. cit., s. 34.

¹⁰ Kurs w Brzuchowicach odbył się jeszcze bez udziału „Sokoła”. Władze „Sokoła” nie od razu zgodziły się na ujawnienie pracy skautowej w „Sokole”, obawiając się przewagi niepodległościowej młodzieży „zarzewiackiej”. Dopiero zbieg różnych okoliczności, wśród których nie bez znaczenia było gorące propagowanie idei skautingu przez A. Małkowskiego – członka zarazem „Sokoła” i „Zarzewia” – sprawił, że Naczelnik „Sokoła” dr Kazimierz Wyrzykowski zgodził się najpierw na przeprowadzenie dyskusji o skautingu angielskim wśród grona nauczycielskiego „Sokoła Macierzy”, a wkrótce potem na oficjalny kurs dla instruktorów skautingu. Pierwszy wykład na tym kursie wygłosił Małkowski 20.03.1911 r. H. Bagiński, op. cit., s. 412.

¹¹ Pierwszy numer „Zarzewia” ukazał się w grudniu 1909 roku.

¹² E. Kwiatkowski, *Prehistoria ruchu zarzewiackiego* [w:] „Zarzewie”, 1909–1920. *Wspomnienia i materiały*, op. cit., s. 98.

¹³ W pierwszym numerze „Zarzewia” pisano: chcemy w imię najwyższej idei, Niepodległości, wśród młodzieży pracować, by wyrobić w niej tyle duchowych i fizycznych sił, aby ich na codzienny obywatelski trud i na walkę orężną starczyło, by wychować zastęp podchorążych, którzy sztandaru swego nie odstąpią, aż go na wolnej zatkną ziemi. H. Bagiński, op. cit., s. 383.

¹⁴ Tamże, s. 394

¹⁵ Utworzona w jesieni 1909 roku przez akademika lwowskiego Ludwika Skoczylasa, jednego z założycieli Polskiego Związku Wojskowego.

Marta Walczewska

Lwowianki

W roku 1935 wydano w Warszawie nakładem Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa” książeczkę autorstwa dr Łucji Charewiczowej pt. *Z przeszłości Lwowianek*. Zdobią ją drzeworyty Wiktorii J. Gorzyńskiej.

Autorka mówi o wspaniałej i bohaterskiej roli Lwowa od czasów najdawniejszych – od powstania miasta, o jego przeobrażeniach za czasów Kazimierza Wielkiego.

Lwów stał się warownią – jednym z ogniw granicznego łańcucha twierdz, broniących Polskę od południowo-wschodnich wrogów.

Rolą dziejową miasta były praca, handel, i wojny. Gnębiły je mory i pożary. Chwała przeszłości opromienia tylko męską część ludności miasta. Żaden wykaz biograficzny nie obejmuje lwowskich *feminae celebres*.

Kobieta lwowska – żywotnością swą i energią życiową – godna jest włączenia w dzieje bohaterskiego miasta.

Kobiety lwowskie to przede wszystkim stan średni – mieszczański, a później inteligentki. A były to kobiety gospodarne, zapobiegliwe, które sekundowały dzielnie mężom w życiowym znoju i potrafiły przepoić go promieniami szczęścia rodzinnego, niosąc codzienny gospodarski trud. Dawna lwowska matrona poza domowymi progami była widoczna w kościele. W sprawach urzędowych nic nie znaczyła sama wobec prawa. Jej imię pojawia się w aktach miejskich przy intercyzie małżeńskiej i sprawach spadkowych. Synowie bywali na pierwszym planie, córki skrywały alkierzowe ciemnie. Jeśli nie wyszły za mąż, to oddawano je do klasztoru, rzadko bywało staropanieństwo. Inaczej wyglądało życie mieszczyki, a inaczej żony rycerza- szlachcica. Dla mieszczyki dostępny był kościół, sklep czy warsztat, gdzie przewijało się wielu ludzi. Szlacheckie dworki często były odległe od kościoła. Panie przędły kądziel, robiły zapasy, cieszyły się: gdy pojawił się gość w dworku. Tak mieszczyka, jak i ziemianka bywały opuszczane przez mężów na długie okresy. Rycerz szedł na wojnę, kupiec odbywał podróże handlowe. Wtedy kobiety obejmowały ster gospodar-

dokończenie przypisów na s. 60



Pani lwowska z epoki styczniowej

stwa. W czasie wojny mieszczanie bronili swego miasta na murach, kobiety często niosły im pomoc.

W średniowiecznym Lwowie były jeszcze kobiety według prawa niewolne, sprzedażne siły robocze w transportach, dążących ze Wschodu na Zachód, ale też wśród ormiańskich mieszańek Lwowa. Jeszcze w 1519 roku Statuta Ormian Lwowskich zatrzymały ustępy o niewolnictwie. Handlowano też kobiecym ciałem – towarem rokoszy. „Dom bezwstydu” w cieniu wałów miejskich cieszył się opieką zarządu miasta, który asygnował kwoty „ad reformationem kupanaris”.

Patrycjuszki przebywały w swych pięknych domach, mieszczeni dokonywały sklepów męzowskich i rządziły czeladzią. Biedniejszy plebs niewieści handlował na rynku wyrobami swych mężów czy jarzynami i owocami. Były straganowe rzeźniczeki, piekarki, szewcowe, garncarki, rymarki, solarki, olejarki, płótniarki, rybiarki i szklarki. Bywały też niewiasty szynkarkami w piwnicach, prowadziły wyszynk wina i „ognistego napoju” gorzelnianego – wódki, pod nazwą „vinum crematum”, „vinum sublimatum”. Wyjeżdżały też przedsiębiorcze lwowiarki na jarmarki.

Lwowska kobieta żyła pracą, modlitwą i rodziną. Życie towarzyskie skupiało się na chrzcinach, ślubach i pogrzebach. Domy położnic były tłumnie odwiedzane. Mieszczki stawały czasem pod pręgierzem opinii publicznej. Za „eksces” bywały publicznie przez kata „chlustane”. Pod naporem obowiązków żon i matek patrzyły trzeźwo na rzeczywistość. Mażeńskie rachuby nie liczyły się z miłością. Dziewczęta były oddawane przez rodziców na równi ze sprzętem wyliczonej w intercyzie wyprawy. Przetrwały jednak sentymentalne opowieści. W czasie gdy panował we Lwowie mór, młody Włoch, dowożący do Lwowa wino z Krety, zakochał się w lwowiance Pelagii. Kiedy zachorowała, nie odstępował od łóża dziewczyny. Zaraził się i oboje umarli. Na płytach nagrobnych umieszczono jednakowe napisy: „Śmierć nie rozłączyła tych, których połączyła miłość”.

Okolo 1580 roku piękna Anusia Wilczkówna rozkochoła w sobie dwóch panów:

Włocha z Florencji – Urbana della Ripa Ubaldini, i lwowskiego żonatego patrycjusza Pawła Jelonka. Jelonek zginął pod ciosami Włocha. Skończyło się małżeństwem Anusi z Urbanem. Ubaldini zasłużył się organizacją poczty we Lwowie.

W 1421 roku poseł francuski na dwór Jagiełły zachwycił się gracją tańca i zręcznością towarzyską kobiet lwowskich. Plebs miejski z końca XV wieku personifikuje szynkarka słowami zachwyconego humanisty Kallimacha. Córka mieszczańska Jadwiszka Łuszkowszczyńska stała się oficjalną faworytą króla Władysława IV. Widziano w tym siłę nieczyństwa, walczone egzorcyzmami.

Na czele klasztorów żeńskich stały ksienie i przeorysze z rodów szlacheckich, mieszczeni wnosili hojne wiana. Przy końcu XV wieku siostry Saporawskie ufundowały opodal Góry Zamkowej klasztor Benedyktynek. Ten stał się najstarszym żeńskim zakładem naukowym we Lwowie – ogniskiem żeńskiego szkolnictwa.

W zaraniu dziejów miasta, według legendy Konstancja – siostra świętej Kingi, a żona księcia ruskiego Lwa, zbudowała w połowie XIII wieku pierwszą świątynię dla misjonarzy dominikańskich na miejscu dzisiejszego kościoła św. Jana Chrzciciela, a obok klasztor pustelnię, w której zamieszkała.

W czasach renesansu, które były złotym wiekiem dla Lwowa – patrycjuszki rozdawały swoje majątki, żyjąc w ubóstwie. Dawały pieniądze na budowę kościołów, złoto, srebro i perły, na zdobienie ornatów. Zofia Hanzłowa była fundatorką jezuickiego kościoła i klasztoru oraz kościółka św. Zofii. W 1594 roku fundowała lecznicę dla syfilityków.

Pani Ostrogórska z rodu Kampianów wzniosła świątynię św. Marka. Kościół św. Marii Magdaleny łączy się z pamięcią Aliny Pstrokońskiej. Jadwiga de Niżniow-Boimowa była fundatorką kaplicy rodowej, a Anna z Żabokruków Biełkowska – Dominikanów.

W 1683 roku pani Skłórska podjęła restaurację kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, a Ormianka Augustynowiczowa w 1723 roku kierowała przebudową Katedry Ormiańskiej. Te uciulane grosze mieszczeni i ofiarnictwo szlachcianek składały się na świetność domów Bożych i wyposażenie szpitalnictwa i dobroczynności. Kobiety lwowskie stały się w małżeństwie oparciem i pomocą. Wiele z nich własną pracą utrzymywało

rodziny, zyskiwały majątki, stawiały czoło nieszczęściom.

Urokiem lwowianek ulegali Ormianie i Grecy, Niemcy i Włosi. Piosenka mówi:

*Lwowie, to rzecz niepojęta,
Skąd ty masz takie dziewczęta!*

Dla dziewcząt było więcej „edukacji nadejmej” niż łaciny. Książki modlitewne należały do mieszczańskiej wyprawy. Tzw. „chusty białe” – to bielizna. Szaty na sposób wschodni zdobiono perłami i klejnotami. Ormianki zachowały strój wschodni – „strój ten ujmował ich śniade twarze w szczere złoto, a gorejące oczy łagodził perłami”.

W 1648 roku, kiedy fale Kozaków docierały do Lwowa, a u OO. Bernardynów odbywała się wśród swarów narada wojenna, wpadła pani Skowrońska między wielmożów i dostojników, i aby ich zmusić do natychmiastowego działania – rzuciła im swoje mienie pod nogi, błagając Jeremiego Wiśniowieckiego o ratunek miasta i Ojczyzny. Kronika mówi, że „obywatelki lwowskie oddawały, jak niegdyś Rzymianki, owe pieniądze, które sobie sekretnie na pogrzeb chowały – do skarbca naczelników”.

W dobie przed- i porozbiorowej małeje udział elementu mieszczańskiego w życiu miasta. Zniknęły Wólki mieszczańskie, a rozmożyły się jurydyki szlacheckie. Salon pałacu wziął górę nad mieszczańską świetlicą. Od warstw najwyższych przychodził szal zabaw i uciech, niemoralności. Kobiety – plebs lwowski – usiłował bronić religijnych tradycji, gdy po skasowaniu józeffińskim klasztorów, jeden miano przeznaczyć na teatr niemiecki. W końcu XVIII wieku brzegi Pełtwi stały się promenadą dla licznych strojnych pań w kapeluszach-poematach. Ogród Jezuicki, Pohulanka, Lasek Węgliński – stały się lwowską Arkadią. Bawiono się i flirtowano w ogrodzie Strzelnicy Mieszczańskiej. W 1809 roku, gdy przybyli do Lwowa ułani Księcia Józefa – panna Puzynianka miała odwagę rozerwać na strzępy czarno-żółtego orła. W okresie Powstania Listopadowego matki-Polki zachęcały młodzież do uczestniczenia w nim. Po 1831 roku opiekunką więźniów była pani Aurelia Radziszewska, a po 1848 – Aleksandra Swobodówna. Wszystkie czynne kobiety skupiały się w „Towarzystwie Sióstr”. Lwowianka Wanda Monne była muza

malarza Artura Grottgera, jej córka Maryla Wolska – utalentowaną lwowską poetką.

Powstanie Styczniowe wywołało entuzjazm lwowianek. Stowarzyszone w „Klasykach” i „Komitecie Dam” – łały kule, skubały szarpie, zakładały szpitale powstańcze.

W tych czasach żona księgarza lwowskiego Leonia z Maciejewskich Karolowa Wildowa była natchnieniem dla twórcy *Chorągwi* – Kornela Ujejskiego. Mieszcząca się przy księgarni wypożyczalnia była nawiedzana przez lwowskie kobiety. Wśród nich była pani Salomea Słowacka-Becu. Panie Felicja Boberska, Kamila Poh, Wiktoria Niedziałkowska i Zofia Strzałkowska stworzyły podwaliny nowoczesnego szkolnictwa żeńskiego. Chlubą sceny lwowskiej były artystki: Aniela Aszpergerowa, Anna Gostyńska, Wanda Siemaszkowa.

We Lwowie zakwitły talenty śpiewaczek: Sembrich-Kochańskiej, Kruszelnickiej, Zboińskiej-Ruszkowskiej, Ady Sari-Schajerówny i Janiny Korolewicz-Waydowej. Tu tworzyła Gabriela Zapolska. Twórczynią ruchu kobiecego była Maria Dulębianka – pierwsza polska kandydatka sejmowa. Lwów pierwszy otworzył uczelnie dla kobiet. Tu pracę konspiracyjną prowadziła Marszałkowa Aleksandra Piłsudska. Pamiętajmy o Marii Wystouchowej – budzicielce kobiet wiejskich, o Jadwidze Petrażyckiej-Tomickej – rzeczniczce równoprawnienia kobiet, a także o komendantce Aleksandrze Bitschan-Zagórskiej. Trzeba zachować w pamięci Matki Lwowskie, które wydały wielkich Synów Ojczyzny.

Stanisław Wasylewski napisał: „W znaku kobiety stoi dziś Lwów odrodzony, a pod urokiem kobiecym stał zawsze”.

Zawarta w książeczce historia sięga lat międzywojennych. Już niedługo nadszedł tragiczny wrzesień 1939 roku, który przyniósł kolejno 3 okupacje: sowiecką, niemiecką i drugą sowiecką. Lwów zawsze wierny został oderwany od Polski.

Jak lwowianki przeżywały te lata wojny, wywózki na Sybir, ekspatriację i życie w Polsce w nowych granicach? A jak żyją Polki w ukraińskim Lwowie? To już osobny temat, wymagający opracowania.



Ta kupi pani, cy ni?!

Ilustracje wg. St. Wasylewskiego, „Lwów”

Z prof. Kazimierzem Wiechem rozmawia Janusz M. Paluch



Panie Profesorze, zasłynął Pan jako piewca głuszy huculskiej, zafascynowany twórczością Stanisława Vincenza. Dlaczego porzucił pan Karpaty, a zaczął częściej wędrować po Lwowie, po cmentarzu Łyczakowskim? Przecież tak wiele dla tych miejsc zrobili już prof. Stanisław Nicieja czy Adam Bujak.

Karpat nie porzuciłem, a moja fascynacja Huculszczyzną i Lwowem trwała i trwa do dzisiaj równolegle. Wizyty w krainie Huculów to m.in. rezultat wycieczki do Lwowa w 1996 roku. Odwiedziliśmy Kołomyję, Kosów, Pistryń, Jaremcze i Worochtę, z której już tylko krok na Howerłę – najwyższy szczyt Czarnohory. Z przełęczy patrzyliśmy na zamglony horyzont i majaczące w oddali szczyty gór. Wtedy powiedziałem – nie tylko do siebie: My tu musimy wrócić. Rzeczywiście, od tego czasu zaczęły się moje wędrówki po Czarnohorze trwające przez kilkanaście lat. Natomiast Lwów bardziej systematycznie odwiedzam od roku 2000. Jednak pierwszy raz szedłem ulicami Lwowa w 1976 r., kiedy nielegalnie opuściłem pociąg relacji Przemysł–Kijów. Mogłem wtedy, ale tylko przez kilka godzin, wędrować po tym mieście nie znając go zupełnie, pamiętając tylko kilka widoków ze zdjęć, które zachowały się w domu rodziców. Ojciec, kiedy wybierałem się w tę podróż, powiedział: *Jeśli tylko uda ci się być we Lwowie, przejdź się Wałami Hetmańskimi, idź do Katedry, bo na pewno będzie otwarta.* To było dla mnie wyzwanie, polecenie, jakie

mi ojciec zostawił. Spełniam je do dzisiaj, bo przecież ojciec już dawno zmarł. Urodził się we Lwowie i bardzo za tym miastem tęsknił. Lwowskie korzenie mojej rodziny są bardzo głębokie. Babcia Wiechowa – Kukawska z domu i prababcia Zofia Kukawska z domu Kunstmanowa, były nauczycielkami we Lwowie. Dziadkowie wzięli ślub we Lwowie, w kościele p.w. św. Marii Magdaleny. Dużo takich powiązań z kościołami, ulicami i różnymi miejscami przechowało się w tradycji rodzinnej i o tym zawsze się mówiło.

Z jaką ulicą Pana ojciec był najbardziej związany?

Prapradziadkowie, prababcia i babcia, a także krótko mój ojciec mieszkali przy ul. Sodowej. Odwiedziłem kiedyś to miejsce, podobnie jak mój ojciec, który, kiedy po latach w końcu można było pojechać do Lwowa, pierwsze kroki skierował na ul. Sodową. Rodzina, która zamieszkiwała w mieszkaniu pradiadków i dziadków, przyjęła go bardzo serdecznie. Ojciec zauważył nawet, że niektóre meble stały dokładnie w tym samym miejscu, w którym postanowiono je opuszczać dom w 1944 r. Wyglądało to tak, jakby specjalnie ich nie ruszano... Być może nowi właściciele mieszkania myśleli o przyszłości tak samo jak Polacy osiedlający się na ziemiach zachodnich? Że to wszystko jest tymczasowe?... Nawet zaproponowali ojcu, żeby zabrał ze sobą *natkastlik*, który kiedyś należał do prababci Józi... Tato był wzruszony, podziękował, nie było jednak takiej możliwości, a może nie chciał zabierać czegoś, co przecież od lat stało na swoim miejscu... Odebrał tę propozycję ukraińskiej rodziny jako chęć zadośćuczynienia. Oni przecież sami nie byli winni temu, że przydzielono im to mieszkanie. Ale pewnie podczas spotkania z moim ojcem poczuli się winni, a może poczuli wstyd za tych, którzy tak „namieszali” w Europie, zrobili taki bałagan, o którym mówimy już dzisiaj w miarę spokojnie, ale przecież nie tak dawno temu spokojnie o tych sprawach rozmawiać się nie dało. W latach dziewięćdziesiątych XX w. i na początku nowego stulecia bardzo często jeździłem do Lwowa z wielkim entuzjazmem, nawet 3–4 razy w roku.

Zaopatrzony w aparat fotograficzny...

Tak, ale przede wszystkim wozilem ze sobą książki. Wśród nich była oczywiście ta

najważniejsza – książka prof. Niciei o cmentarzu Łyczakowskim. To był dla mnie najlepszy i wówczas jedyny przewodnik po Lwowie. Wziłem też książki Kornela Makuszyńskiego i Jana Parandowskiego... Dlaczego te książki ze mną jeździły? Chciałem być bliżej tego przedwojennego Lwowa. Już podczas pierwszej wizyty w 1996 roku poczułem, że w tym mieście czuję się bardzo swojsko, jak u siebie. Nie miałem tam takiego poczucia obcości jak w innych odwiedzanych, a nieznanym mi wcześniej miastach, w Polsce czy za granicą. Od początku czułem się we Lwowie jak ktoś, kto w tym mieście się urodził i mieszkał. Dlatego od samego początku traktowałem Lwów jako moje drugie miasto. Nie mogę przecież zapomnieć, że chociaż urodziłem się już w Krakowie, to prawie cała moja rodzina przybyła ze wschodu. Mama Jadwiga – z domu Mikołajczak, z babcią Oleńką przyjechały z Kowla, bo tam był garnizon wojskowy, w którym służył mój dziadek, mjr Kazimierz Mikołajczak, w grudniu 1939 r. aresztowany przez Sowietów i zamordowany – prawdopodobnie w Bykowni. W Kowlu mieszkali także moi pradziadkowie Eleonora i Konstanty Soleccy. To był dom, który podobnie do lwowskiego z ulicy Sodowej gromadził rodzinę mojej mamy. A rodzina taty, jak już wspomniałem, przybyła ze Lwowa. Jeszcze w 1924 roku moi dziadkowie opuścili ukochany Lwów przenosząc się do Leżajska, gdzie dziadek, absolwent wydziału leśnego Politechniki Lwowskiej, został zatrudniony w dobrach leśnych hrabiego Alfreda Potockiego.

Na moje dobre samopoczucie we Lwowie wpływały też kontakty, jakie nawiązałem od samego początku z Polakami tam mieszkającymi. Pamiętam panią Szymańską, wdowę po adwokacie, która mieszkała bardzo blisko katedry św. Jura. Do dziś przyjaźnię się z Marią i Krzysztofem Szymańskimi mieszkającymi w centrum miasta wraz z rodzicami, we własnym domu. I jeszcze jeden element mający na to wpływ – zdjęcia, które się zachowały, na które patrzyłem od dzieciństwa, nabierając przekonania, że Lwów to naprawdę piękne miasto. Podwójnie piękne, bo mieszkali w nim piękni duchem ludzie. Teraz może trochę idealizuję, ale taki właśnie obraz Lwowa powstał w mojej wyobraźni. Te obrazy ożywały podczas opowieści snutych w domu, a kiedy wędrowałem przez Lwów, ukazywały mi się w innym wymiarze. Kiedy szedłem Wałami

Hetmańskimi czy ulicą Akademicką i patrzyłem na otaczających mnie zewsząd ludzi, miałem wrażenie, że oni nie są ze Lwowa, bo zupełnie nie pasują do tego miasta. Zresztą myślę, że oni też do końca jeszcze nie czują się prawowitymi mieszkańcami Grodu Lwa. Oczywiście przeczytałem całą masę książek o Lwowie, choćby Szolgini – jego książki to swoista *lwowska biblia*! Jest wielu innych autorów, chociażby prof. Kazimierz Juliusz Nahlik (*We Lwowie i na Pokuciu. Ścieżki mojej młodości*), prof. Jan Ostrowski (*Kresy bliskie i dalekie*), w końcu piękne opowieści Jerzego Janickiego! Po takiej lekturze nie mogłem też we Lwowie czuć się obco. Nie można także zapomnieć o prof. Niciei, którego dzieło to nie tylko opowieść o cmentarzu Łyczakowskim, ale także o wszystkich tych, którzy w XIX w. i w pierwszej połowie XX w. tworzyli wielkość tego miasta.

Nicieja był chyba pierwszym polskim historykiem, który w drugiej połowie XX w. mógł oficjalnie pracować we Lwowie, pisać i publikować w PRL-owskiej rzeczywistości...

Z perspektywy lat wygląda to niesamowicie. Jak on to zrobił? Jak przekonał nie tylko polskie władze, ale i sowieckie? Przecież to były lata 70. XX wieku. Głęboka komuna w ówczesnym Związku Radzieckim i w Polsce. Nie wiem, czy nie najgorszy i najtrudniejszy czas na odsłanianie polskości tamtych terenów. Przecież to były tematy zakazane, na które były zapisy cenzury.

Jak Pan Profesor zapamiętał rodzinne spotkania, podczas których opowiadano o Lwowie, o Kresach?

Wyrastałem w atmosferze kresowej. W latach 50. każdy pretekst był dobry, żeby się spotkać w gronie rodziny. Pamiętam śpiewny akcent lwowski, jaki słyszałem podczas ich rozmów. Ciągłe wracali pamięcią do Lwowa: jak tam jest na Sodowej, jak tam w kościele u Marii Magdaleny, a jak na Akademickiej... Wciąż powtarzali, dobrze byłoby pojechać, dobrze byłoby wrócić... Przychodził na te spotkania brat babci – wujek Jan Kukawski. Był prawnikiem, który w czasie wojny mieszkał we Lwowie. Podczas pierwszej okupacji sowieckiej (1939–41) ukrywał swoje wykształcenie oraz stopień wojskowy i prawdopodobnie dzięki temu uniknął wywózki. Imał się wtedy różnych zawodów, m.in. pracował jako zdun.

Nie wiedział za dobrze, jak się piece stawia, ale przecież trzeba było z czegoś żyć, więc został na jakiś czas zdunem. Jest taka rodzinna anegdota, że kiedyś sam się zamurował w piecu i piec trzeba było rozebrać, żeby go z niego wydostać... Przychodziła też ciocia Jadwisia Iwanow z domu Solecka – siostra babci ze strony mamy, która także mieszkała w domu rodzinnym w Kowlu. Odwiedzał nas także wujek Lonio Solecki – prawnik, później sędzia sądu wojewódzkiego w Krakowie, którego śpiewny wschodni akcent mam do dziś w uszach. Jego żoną była Janina Walczewska, której rodzina pochodziła ze Lwowa. Takie rodzinne spotkania kończyły się prawie zawsze niezwykle barwną i dramatyczną opowieścią babci Oleńki – relacją z pierwszego bombowego nalotu na Kowel we wrześniu 1939 r. Babcia starała się jak najwierniej oddać atmosferę tamtego dnia naśladując głosem dźwięk spadających bomb. A robiła to w taki sposób, że i dziś na wspomnienie tamtych wieczornych spotkań czuję ciarki przechodzące po plecach. Babcia także pięknie śpiewała, więc jak tylko była po temu okazja, to śpiewała, a czasem grała na gitarze pieśni swojej młodości. Już wtedy docierało do mnie, że była jakaś cezura czasowa. Skończyło się to piękne życie, opisywane w takich zupełnie niedoścignionych barwach. Jak oni się potrafili rozwozić o tym, jak wyglądała choinka? I choć obok stała bajecznie ubrana i rozświetlona jodelka, to gdzie jej tam było do tej z Kowla czy ze Lwowa! Opowiadali też o obrazach, jakie wisiały na ścianach w domu w Kowlu, dziełach Fałata, Kossaka, Malczewskiego... Gdzie one teraz są?

Mimo wszystko był Pan jednak turystą z Polski...

Nie do końca i nie zawsze... Podczas moich pobytów na Kresach zawsze staram

się żyć miejscowym rytmem. Kiedyś przez tydzień każdego dnia rano wędrowałem brnąc w śniegu na przystanek *marszrutki*, w jednej ręce niosąc teczkę z książkami, a w drugiej rzutnik do przezroczy. I tak jak każdy mieszkaniiec współczesnego Lwowa jechałem w strasznym tłoku do pracy, do polskiej szkoły, gdzie prowadziłem zajęcia z młodzieżą. Były to lekcje z entomologii i szeroko rozumianej biologii, ale nie mogłem nie opowiedzieć im o Krakowie czy współczesnej Polsce. Wtedy starałem się ich zachęcić do korzystania ze stypendiów i nauki na uczelniach polskich. Dzisiaj, kiedy już wiem, że polityka zachęcania młodych Polaków na Kresach do nauki w Polsce na dobre nie wyszła Kresom, odczuwam pewien dyskomfort. Przecież tak wiele z tych osób już do Lwowa, w swe rodzinne strony, nie wróciło. Odływ młodzieży o polskich korzeniach w latach 90. XX w. był dla Lwowa dramatyczny. Kiedy zacząłem jeździć do tego miasta, mówiono, że mieszka tam 20–25 tys. osób pochodzenia polskiego. Ilu teraz ludzi przyznaje się do polskości? Podejrzewam, że jest ich już – z różnych względów – zdecydowanie mniej...

Proszę opowiedzieć o swoich fascynacjach Lwowem. Pamiętam interesującą wystawę fotografii autorstwa Pana Profesora poświęconych kościołom Lwowa...

Miałem kilka etapów fascynacji Lwowem. Rzeczywiście na początku zaurczyły mnie kościoły lwowskie. Pierwsza moja wystawa fotograficzna związana ze Lwowem poświęcona była kościołom tego miasta. W drugiej połowie lat 90. XX w. można było już do większości z nich wejść do środka, bo były przeznaczone dla celów kultowych. Wędrując wtedy, przypominałem sobie mój pierwszy – ten nielegalny – pobyt we Lwowie. Wyszedłem z pięknego, eklektycznego dworca kolejowego wzniesionego na przełomie XIX i XX w. według projektu Władysława Sadłowskiego, chyba najpiękniejszego i największego w ówczesnej Galicji. Poszedłem w dół ulicą Gródecką i najpierw minąłem kościół św. Elżbiety, zaprojektowany przez Teodora Talowskiego. Rzuciły mi się w oczy powybijane szyby w kościelnych oknach. Przez jakąś szparę zajrzałem do środka, leżała tam sterta czegoś nieokreślonego...



Tam był zdaje się – jak podają różne źródła – magazyn zakładu cukierniczego „Świtocz”...

Potem szedłem dalej. U zbiegu ulic Gródeckiej i Janowskiej mijalem kościół św. Anny, który ma jakże interesującą historię. Po 1945 r. był tam sklep meblowy, a potem tzw. kasy gródeckie. Ta świątynia w środku była kompletnie zrujnowana. Wewnątrz leżała przyzma piachu czy cementu... Później poszedłem w kierunku opery. Oczywiście stał tam pomnik Lenina. Kierowałem się Wąłami Hetmańskimi, tak jak kazał mi iść ojciec, a w oczach pojawiały mi się znane mi z domu fotografie. Byłem zadziwiony tym, że na najbardziej reprezentacyjnej ulicy miasta było tak mało ludzi. Jeździeli się pojawiali, to byli jacyś tacy skuleni, zapadnięci w siebie, jakby nic wokół nie dostrzegali, szli szybko nie rozglądając się ani nie odwracając. Byli wyraźnie zastraszeni. W końcu dostrzegłem wieżę katedry łacińskiej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to jest katedra. Nie bardzo wiedziałem, jak wejść do środka. Wewnątrz panowała ciemność, w oddali majaczyła wieczna lampka przed Najświętszym Sakramentem, i cisza... W ławkach kłębały staruszki. Było ich kilka. Pustka, cisza, smutek... Ktoś mi potem powiedział, że do naszej katedry chodzili też w dużej części grekokatolicy, którzy byli zupełnie pozbawieni swych świątyń. W końcu katedra rzymskokatolicka i kościół św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej były w tamtych czasach jedynymi czynnymi świątyniami we Lwowie. Przeszedłem się jeszcze tylko wokół rynku i wróciłem na dworzec. Nie miałem czasu, a było to także ryzykowne, aby pójść na cmentarz Łyczakowski, nie wspominając o cmentarzu Orląt... Dwa lata wcześniej sowieci zniszczyli kolumnadę i rozjechali czołgami groby obrońców Lwowa...

W tamtym czasie założenia architektoniczne cmentarza jako ogrodu i parku, stworzone przez Karola Bauera i Tytusa Tchórzewskiego, były zapewne dużo wyraźniejsze niż obecnie. Od tamtego czasu, minęło przecież 40 lat, powstało wiele grobowców ukraińskich, nasza Aleja Zasłużonych została zupełnie zmieniona, wycięto wiele drzew. Niektóre są poprzycinane w sposób absolutnie niemieszczący się w ramach sztuki ogrodniczej. Stoją teraz same pnie, które wyglądają jak martwe słupy. Bez głębszego uzasadnienia niszczy się naturalne piękno tego miejsca. W przedwojennych przewodni-

kach jest napisane, że był to ogród, który sam się wkomponował w naturalną konfigurację wzgórz. Architekci planujący cmentarz Łyczakowski wspaniale wykorzystali naturalną otulinę roślinną, doskonale w nią i w krajobraz wkomponowując samą nekropolię. Myślę, że prof. Nicieja prowadząc badania musiał się jeszcze zetknąć z pozostałościami pierwotnych założeń. Niestety w wielu częściach Cmentarza coraz trudniej je zauważyć.

Wróćmy jeszcze do kościołów...

Po latach, kiedy ponownie wróciłem do katedry, towarzyszyli mi studenci. Weszliśmy do świątyni w trakcie nabożeństwa, odmawiano litanie do Matki Boskiej. Potem zaśpiewano jedną z wieczornych pieśni kościelnych. Wszystko w języku polskim. Spoglądałem na studentów. Byli autentycznie wzruszeni. Po nabożeństwie jedna ze studentek zapytała: *Panie profesorze, gdzie my właściwie jesteśmy? Czy to jest Ukraina? A jeśli tak, to ta katedra jest jakąś wyspą polskości na tym ukraińskim oceanie!* To było niesamowicie skojarzenie młodej osoby. Ja też zdałem sobie wówczas sprawę, że katedra jest takim przyczółkiem dobrej nadziei, może jedynym miejscem we Lwowie, gdzie można było przyjść, a wizyta tam dawała człowiekowi otuchę. To było tak niesamowicie wzruszające! Ta jedna chwila warta była trudów związanych z organizacją i całą wyprawą na Kresy z młodzieżą studencką. Może niektórzy z nich już nigdy nie wrócą do Lwowa, ale ta chwila w katedrze na zawsze zapadnie w ich pamięci... Dużo później podobne wzruszenie przeżyłem w Katedrze Ormiańskiej. Tej świątyni całe lata nie można było obejrzeć, była zamknięta. Jerzy Janicki opisywał w jednej ze swych książek, jak udało mu się tam wejść z jakimś biskupem z Kolumbii. Janicki znał doskonale tę świątynię sprzed wojny i kiedy udało mu wejść do środka, przechodząc wśród zdewastowanych mebli i fragmentów rzeźb, z obawą spoglądał na ściany, czy zachowały się słynne freski Henryka Rosena. Gdy zobaczył wreszcie na ścianie *Pogrzeb Odyłona* w prawie nienaruszonym stanie, to, jak sam napisał, *taka wielka radość go wypełniła*. Ze mną było podobnie. Kiedy pierwszy raz wszedłem do katedry i spojrzałem na ściany, w osłupieniu odkrywałem malarstwo Rosena, o którym wcześniej nie słyszałem. Nie wiem, jak wielu ludzi, wyłączając oczy-



wieście historyków sztuki, słyszało w Polsce w tamtym czasie o Rosenie. Dla mnie spojrzenie na polichromię na ścianach katedry było odkryciem zupełnie nowego rodzaju malarstwa. Potem byłem w kaplicy w seminarium lwowskim, gdzie też są freski Rosena, których nikt nie ogląda, nie wpuszczają tam żadnych wycieczek. Zacząłem szukać o nim informacji, o jego dziełach... Potem spotykałem go, a to w Sanoku, w Wiedniu na Kahlenbergu, w kaplicy w Castel Gandolfo, gdzie malował na prośbę papieża Piusa XI, potem spotkałem jego dzieła także w Stanach Zjednoczonych, dokąd wyjechał w 1937 r. i pozostał do śmierci. W Katedrze Ormiańskiej zwróciłem uwagę na popiersie ks. bp. Issakowicza „Złotoustego” wykonane przez Juliusza Wojciecha Bełtowskiego. O biskupie Issakowiczu wiedziałem, ponieważ w Krakowie u karmelitów na Piasku jest tablica pamiątkowa poświęcona temu kapłanowi, upamiętniająca wizyty w naszym mieście. W domu też Go wspominano, tam właśnie też usłyszałem ów przydomek „Złotousty”, bo pamiętano, że głosił piękne kazania. Mówiono, że takiego kaznodziei już nie ma i nie będzie. I tak wędrowałem po tych lwowskich kościołach. Miałem ambicję wszystkie odwiedzić i sfotografować. Nie wszędzie udało mi się wejść. W niektórych dopadał mnie smutek, np. w kościele Matki Bożej Śnieżnej czy wspominaanej już świątyni św. Anny. Czytałem o tych kościołach, oglądałem ich fotografie sprzed wojny, a znajdowałem puste zrujnowane pomieszczenia, ściany pozbawione nie tylko obrazów, ale także pięknych, zabytkowych malowideł ściennych, albo ze świeżo namalowanymi obrazami w stylu sztuki w żaden sposób niepasującej do bryły architektonicznej świątyni.

Wszedłem kiedyś do kościoła bernardynów, jeszcze przed remontem. Czytałem o tym kościele sporo, między innymi – o czym wcześniej nie wiedziałem – o tym, że do bernardynów we Lwowie szło się po to, żeby zobaczyć obraz *Golgota* namalowany przez Tadeusza Sulimę-Popieła, przy

udziale Jana Styki i Zygmunta Rozwadowskiego. Ten wspaniały i ogromny obraz raz do roku, na okres Wielkanocy, rozwijają teraz bernardyni w Krakowie! U lwowskich bernardynów chciałem zobaczyć deskę z namalowanymi scenami z życia św. Jana z Dukli, który żył we Lwowie kilkadziesiąt lat aż do śmierci. Oczy mi się wtedy otworzyły, bo choć o Świętym słyszałem wcześniej, to nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak ważna to była postać dla Lwowa, jak ściśle związana z kościołem bernardynów i historią tego miasta, najazdem Bogdana Chmielnickiego i cudem, jaki się wtedy wydarzył. Przed kościołem stoi kolumna, na której znajdowała się kiedyś postać św. Jana z Dukli w pozie, w jakiej miał się ukazać we śnie Chmielnickiemu. Oczywiście rzeźba została zniszczona przez sowietów, a w jej miejscu na kolumnie wandalę postawili jakiś wazon. Ale święty pozostał. Stał obok, na dachu wieńczącym studnię... Zawsze pokazuję tę postać osobom, z którymi zwiedzam Lwów.

U wylotu ul. Łyczakowskiej stoi klasztor sióstr klarysek. Cały czas przed drzwiami stoi tam jakaś wojskowa warta. Wszedłem, bo to „narodny muzeum” i coś na drzwiach było napisane o Pinslu... Najpierw Rosen, a tu Pinsel... Nowe odkrycie! Kościół z zewnątrz mało interesujący, a wewnątrz zaskoczenie! Po wejściu do środka zobaczyłem pełne niezwyklej ekspresji rzeźby właśnie Jana Jerzego Pinsla i zauważyłem podpisy pod tymi wspaniałymi dziełami: że zostały „uratowane” z różnych kościołów rozsianych po Ukrainie. Zaczęła mnie wtedy nurtować myśl... Jak to uratowane? Zabrane! Ale później, kiedy zacząłem zwiedzać te kościoły, kompletnie zrujnowane, zniszczone, odarte z wyposażenia aż do tynku... Czasem tynku też nie było, tylko zwietrzała cegła. Wtedy przyznałem trochę racji muzealnikom, którzy podpisując te bezcenne, ocalałe dzieła Pinsla dodali, że zostały uratowane. Ten sam rzeźbiarz wykonał na fasadzie katedry św. Jura postacie przedstawiające Atanazego i Leona Szeptyckich, a także św. Jerzego walczącego ze smokiem. Niewiele zostaławił po sobie, albo raczej niewiele po nim zostało. Ale to, co zostało, było dla mnie kolejnym wielkim odkryciem! Udało mi się także w tym samym kościele wejść na górę, na chór, choć to było zabronione... I tu moje kolejne odkrycie. Rzeźby stojące na dole były oddzielone od

ścian wielkimi płóciennymi ekranami. Dopiero z góry można było dostrzec, że zasłonięte nimi ściany pokryte są freskami! Dziełami Tadeusza Popiela, który namalował wydarzenia z historii Lwowa: *Śluby Jana Kazimierza*, *Wjazd Jana III Sobieskiego do Wiednia* i *Obrona lwowskiego klasztoru bernardynów przed Tatarami i Kozakami*. Jakież to zastanawiające – jedno dzieło pokazują, inne zasłaniają?... Dlaczego pokazują rzeźby Pinsla kosztem tamtych dzieł? Być może Pinsel, człowiek z ludu, jest bardziej swój, a obrazy na ścianach malowane przez Popiela czy kogoś innego to już są „pańskie obrazy”, obrazy namalowane przez Polaków, pokazujące wydarzenia z polskiego Lwowa na przestrzeni wieków... Czy nie lepiej to schować za dyktą, aby pokazać równie wielkie dzieła wybitnego artysty? Niektórzy nazywają go przedstawicielem *baroku ukraińskiego*. Z chóru można także podziwiać sklepienie świątyni wykonane przez Marcina Stroińskiego, a odrestaurowane przez Tadeusza Popiela, niestety nieoświetlone, ginące w mroku.

Byłem też w kościele benedyktynek. Jest tam niezwykła renesansowa wieża, dzieło Pawła Rzymianina. Aby wejść na dziedziniec, trzeba przejść przez bramę, na której pozostały resztki polichromii. Znowu wyobraźnia musi zadziałać, bo to tylko resztki pozostały. Kiedyś na ul Kopernika poszedłem do kościoła św. Łazarza, kościół zamknięty, ale na bramie zachował się zabytkowy napis: *Szpital s. Łazarza. Na chwałę p. Bogu y na oratowanie ubogych. Cory Obractwa Rożanca S:P Mariei jest wystawioni*, a na dole dwa lwy, ponoć przeniesione jeszcze sprzed dawnego ratusza, tego, który się zawalił w XIX w., gdy wieża ratusza runęła.

Musiał pan spotykać ludzi. Miejscowi, jak słyszą polską mowę, niemal zawsze zaczepiają, zawsze chętni do rozmowy...

Rzeczywiście tych rozmów było sporo. Zastanawiało mnie to, że ci ludzie pytali mnie o sprawy dla mnie oczywiste. Oni traktowali mnie jak przewodnika. To ode mnie chcieli się dowiedzieć, co znajdowało się kiedyś w jakiejś kamienicy, która akurat wtedy mnie zainteresowała. Chodziłem też po rynku i przystawałem – tak dyskretnie obok wycieczki z miejscowym przewodnikiem, mówiącym po polsku. Język polski nie zawsze jest tu wyznacznikiem polskości, we Lwowie prawie wszyscy wycho-

wyli się na telewizji polskiej... A tamtejsi przewodnicy często stwarzają wokół siebie aurę polskości, nie zawsze mając polskie korzenie, mimo iż doskonale posługują się językiem polskim. Opowiadają nieraz rzeczy niestworzone, tworząc zupełnie nową historię Lwowa. Nieraz stałem i słuchałem i złość mnie brała. Znam przecież historię Lwowa, ta historia jest jedna, można ją interpretować, ale jest jedna i nic jej nie zmienia! Przecież nie można podważać faktów, że przed wojną Lwów był polskim miastem i mieszkało w nim prawie 70% Polaków, 20% Żydów, nieco ponad 9% Rusinów, trochę Niemców, Ormian i innych! Nie powinno się przerabiać polskich nazwisk rzeźbiarzy, architektów – i robić z Zachariewicza Zacharewycza. Byli to lwowianie mówiący po polsku, mimo często obco brzmiących nazwisk, jak Vincenz, Schimser czy Witwer. Bo Lwów był takim miastem, że jak się do niego przyjeżdżało, to po kilkunastu latach stawało się lwowianinem mówiącym po polsku. Lwów miał taką magię... Pamiętam spotkanie ze staruszką na Górze Powstańczej na cmentarzu Łyczakowskim. Opowiadała mi o tym, co przeszła, jak się jej teraz żyje. Najbardziej dramatyczna opowieść była o tym, jak się z nią obeszła rodzina mieszkająca w Polsce. Za parę hrywien zajmuje się porządkami na grobach powstańców. Takich opowieści wysłuchałem wiele...

Pamiętam, że kiedyś spotkaliliśmy się na cmentarzu Łyczakowskim. Pan Profesor jak zawsze ze sprzętem fotograficznym samotnie wędrował wśród polskich mogił...

Tych moich wizyt na Cmentarzu Łyczakowskim było kilkadziesiąt, o różnych porach roku, różnych porach dnia...



Ale pierwsze zetknięcie się tym miejscem zawsze jest najważniejsze...

To prawda. To był rok 1996, rozpoczęto wtedy poważne prace na cmentarzu Orłąt. Cmentarz był jeszcze w stanie ogólnego zaniedbania. Wszystko było zarośnięte chwastami, ale mogiły były już odsłonięte i stały na nich kamienne krzyże. Już widać było, że ktoś rozpoczął na tym cmentarzu prace porządkowe. Wtedy z kuzynostwem oderwaliśmy się od grupy i zaczęliśmy szukać naszych grobów rodzinnych. Znaleźliśmy grób mojego prapradziadka Zygmunta Kunstmana i jego żony Józefy – tych, którzy mieszkali przy ul. Sodowej. Kiedy dwa lata wcześniej mój kuzyn dotarł w to miejsce, mogiły nie było widać, tylko z ziemi wystawał fragment nagrobnej płyty. Po jej odczyszczeniu i odwróceniu okazało się, że są na niej wyryte imiona i nazwiska pradziadków. Po dziś dzień, mimo że ten grób to właściwie tylko ta płyta, jeździmy tam i palimy świece, odczyszczamy mogiłę. I Ukraińcy nie ruszają tego miejsca. Mają szacunek dla grobów, to trzeba im przyznać, i jeżeli tylko Polacy opiekują się mogiłami swoich przodków, to oni ich nie ruszają. Muszę podzielić się refleksją, że właściwie Ukraińcy nie niszczyli grobów. Oni zostawiali je zapomnieniu. Byłem na wielu cmentarzach na Kresach – i we Lwowie, i poza Lwowem. Cmentarze są w większości zachowane, w większości nie zostały zdewastowane. Wyglądają jak cmentarze, którymi nikt się nie opiekował przez sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat. Cmentarz Łyczakowski to osobna sprawa. Tam mieliśmy do czynienia z wyrazami nienawiści, elementami polityki, strzelaniem do polskich fotografii, pozostały do dziś ślady po kulach, ale to robili prawdopodobnie żołnierze rosyjscy. Natomiast w Polsce zniszczono wiele cmentarzy niemieckich i żydowskich, zwłaszcza na ziemiach zachodnich. W Opolu chociażby, tam po cmentarzu niemieckim została zarośnięta trawą aleja, ciąg spacerowy. Smutne, ale prawdziwe... Szliśmy do alei zasłużonych, do obelisku z orłem, pod którym spoczywa Juliusz Konstanty Ordon, a po drodze mijaliśmy piękne grobowce przyozdobione rzeźbami... Wtedy jeszcze nie wiedziałem nic na ich temat, ani kto jest tam pochowany, ani kto jest autorem nagrobnej rzeźby. Teraz już wiem, że mijaliśmy wizerunki Matki Boskiej dłuta Markowskiego, zatrzymaliśmy się przed grobowcem



Sachsów, kupieckiej rodziny. Ten grobowiec jest szczególny. Na postumencie klęczy młoda dziewczyna ze złożonymi rękami. Wtedy, 15 lat temu, kiedy po raz pierwszy patrzyłem na jej wizerunek, był deszczowy dzień, krople spływały po kamiennej twarzy dziewczyny... Przejmujący widok! I wtedy zdałem sobie sprawę z niesamowitości chwili, że my przyjechalśmy na cmentarz, a tu cała natura płacze nad losem tego cmentarza, nad losem Lwowa. Oglądając fotografie, jakie pozostały z tej pierwszej wizyty na cmentarzu Łyczakowskim, zdałem sobie sprawę z tego, że to przecież nie jest tylko cmentarz. To jest także galeria. Tam jest takie nagromadzenie rzeźb, takie nagromadzenie sztuki cmentarnej, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Kraków ma swój cmentarz Rakowicki, młodszy trochę od cmentarza Łyczakowskiego. Trudno je porównywać. Cmentarz Rakowicki jest płaski, posiada wiele ciekawych pomników, ale gdzie mu do Łyczakowskiego?! Ten położony jest na wzgórzach, poprzecinany pięknymi alejami wśród drzew, w które wkomponowano rzeźby, tam na każdym kroku widać zamysł architektoniczny i przewodnią myśl, że ma to być nie tylko cmentarz, ale także park. Wspominana już książka prof. Stanisława Niciej, jakże wielowątkowa, zawierająca nie tylko opisy grobów, ale i wydarzeń, opisy pogrzebów, życiorysy osób, wiersze – była moim przewodnikiem po cmentarzu. Odwiedzałem go o różnych porach dnia i roku. Zawsze wyglądał inaczej. Latem zarasta rdestem i różnymi chwastami. Zimą – widok okaleczonych nieumiejętną przycinką drzew pogłębia smutne wrażenie. Dąb jest piękny dlatego, że ma rozłożyste konary. Podobnie lipa. Jak się skaleczy korony drzew, poobcina grube gałęzie, to drzewa stają się słupami i nie pełnią już funkcji, jaką miały pełnić, czyli być żywym uzupełnieniem martwej kamiennej rzeźby. Wiosna jest najciekawsza – także wczesne lato. Wtedy trzeba jeździć na cmentarz Łyczakowski i fotografować. Podczas pierwszych wizyt irytowało mnie, dlaczego, skoro

mam tu rodzinne groby, muszę kupować bilet upoważniający do wejścia na cmentarz? Było to dla mnie oburzające i wywoływało wewnętrzny protest. Tym bardziej że wchodząc na cmentarz i kupując bilet, widziałem siedzących przy bramie cwaniaków, którzy pewnie połowę pieniędzy brali na lewo. Ileż razy kupując bilety, płaciłem za dwa, a dostawałem jeden... Wiele lat temu poznałem w Krakowie dyrektora lwowskiego ogrodu botanicznego – Andrija Prokopiwa, z którym się zaprzyjaźniłem. Kiedyś wychodząc z ogrodu, który znajduje się kilkaset metrów od cmentarza, zauważyłem, że w pobliżu jest boczne wejście, gdzie nie potrzeba biletów, wejście znane i używane przez Ukraińców. W pobliżu jest grób Łozińskiego, młodo zmarłego pisarza, który zginął w pojedynku o kobietę. Prorokowano mu dużą karierę literacką, która została przedwcześnie przerwana. To jest jeden z najpiękniejszych pomników na cmentarzu Łyczakowskim, znajdujący się obecnie w otoczeniu ukraińskich grobów. Do tych biletów trzeba się jednak przyzwyczaić. Bardzo chętnie będę płacił za bilet jak do muzeum, ale żeby rzeczywiście było to muzeum. To byłaby jakaś gwarancja, że tego cmentarza się nie zniszczy, że będzie się o to miejsce dbało. A obecnie tak nie jest. Przykładem może być kaplica Dunin-Borkowskich, piękna i najstarsza na cmentarzu Łyczakowskim. Po obu stronach wejścia znajdują się rzeźby Hartmana Witwera: płaczką i mężczyzną, którego można kojarzyć z Apollinem. Pierwotnie kaplica stała na zboczu i ze wszystkich stron była widoczna. W tej chwili w krótkiej alejce prowadzącej do niej wybudowano monstrualny grobowiec z jakimiś modernistycznymi rzeźbami postaci o powykręcanych rękach, coś całkowicie niezgodnego się z klasycyzmem Witwera, pierwszego liczącego się rzeźbiarza, którego prace spotykamy na cmentarzu Łyczakowskim. Hartman Witwer jest autorem czterech rzeźb: Neptuna, Diany, Afrodyty i Adonisa, które możemy podzi-

wiać na rynku lwowskim, a także epitafium Jabłonowskiej w katedrze łańcuckiej. Witwer to postać z początków XIX w. Na cmentarzu Łyczakowskim zostawił kilka rzeźb. Niedaleko kaplicy Dunin-Borkowskich, zależy, o jakiej porze roku się przyjdzie, jeśli zimą, to stoi na śniegu płaczką, która pierwotnie na czymś się opierała, a teraz trochę wisi... Latem wspiera się na porastających ją chwastach... Jego rzeźby znalazły swoją kontynuację w pracach Schimserów, zwłaszcza Antona Schimsera, który wzorował się na Witwerze i w bardzo podobnym stylu rzeźbił „swoje” płaczki, ale już nie z taką wiernością, z takim szacunkiem dla szczegółów, jak robił to Witwer. To jest najstarsza część cmentarza. Tam też znajdują się rozbudowane rzeźby grupowe – dzieła Antona i Leona Schimserów przedstawiające grupy postaci w alegorycznych scenach, takich jak na grobowcach Bauerów czy Tranklów.

Panie profesorze, pan się zaczął specjalizować w historii sztuki, a przecież jest pan znanym i cenionym specjalistą w zupełnie innym zakresie – entomologii!

No właśnie. Dlaczego ja to robię? Ta cała galeria sztuki na Cmentarzu Łyczakowskim tworzona była przez znanych rzeźbiarzy, o których wciąż tak naprawdę niewiele wiemy, nie znamy ich twórczości. Kiedy opowiadam, że ta rzeźba wyszła spod dłuta Schimsera, tamte stworzyli Witwer, Filippi czy Eutele, to przeciętnemu turyście zwiedzającemu cmentarz te nazwiska nic nie mówią. I teraz jeśli się pokazuje grobowiec Artura Grottgera – artysty malarza, który ma pomnik na krakowskich plantach, a także ulicę w naszym mieście – i popiersie Karola Szajnochy i mówię się że są to najlepsze dzieła Parysa Filippiego, to niewiele osób, nawet z Krakowa, pamięta jego nazwisko. A on przecież połowę życia spędził w Krakowie, współtworzył miejscową bohemę, zbierali się u niego różni wybitni twórcy, nawet Jan Matejko go odwiedzał. A potem, gdy przeniósł się do Lwowa, tak samo potrafił wokół siebie zgromadzić miejscowych twórców, był u niego Artur Grottger i cała lwowska śmietanka artystyczna, a że miał słabość do alkoholu – to pewnie (także z tego powodu) wcześniej zakończył życie. Piękne rzeźby dzieci, które spotyka się na cmentarzu, to głównie dzieło Pawła Eutele. To tajemnicza postać, nie wiadomo skąd



przybył, a rzeźby uczył się u Schimserów. Na cmentarzu Łyczakowskim swoje dzieła pozostawili także też Leonard Marconi, Tadeusz Barącz – Ormianin, Ostrowski, Jaskólski, Dyka, Drexler, Łepnicki i wielu innych. Już podczas jednej z pierwszych wizyt na cmentarzu odkryłem (kolejny raz we Lwowie) Juliana Markowskiego – wybitnego twórcę nie tylko rzeźby sepulkralnej. Warto dodać, że z trzech polskich pomników, jakie zachowały się we Lwowie – czyli Adama Mickiewicza, Bartosza Głowackiego i Jana Kilińskiego, dwa ostatnie wykonane są przez Jana Markowskiego. To rzeźbiarz, który obok Pawła Eutele pozostawił na cmentarzu Łyczakowskim największą rzeźb. Oczywiście najbardziej znana jest śpiąca (lub umierająca) dziewczyna – nagrobek Markowskiej. Ten grobowiec w pierwotnej postaci miał jeszcze anioła, który rozpościerał nad nią skrzydła. Zresztą anioły Markowskiego rozpościerające skrzydła nad XIX-wiecznymi grobowcami można spotkać na całym cmentarzu. Jego dziełem są także pomniki Konstantego Ordona, Seweryna Goszczyńskiego, postacie Matki Boskiej z pochyloną głową czy Chrystusa upadającego pod ciężarem krzyża. Kiedy zacząłem szukać w literaturze informacji o tych rzeźbiarzach, niewiele udało mi się znaleźć. Poza Stanisławem Nicieją, który o nich pisze, nie znalazłem nic. Nie ma albumu, który pokazywałby cmentarz Łyczakowski przez pryzmat rzeźbiarzy. Nie ma książki, która opisywałaby ich życiorysy, ustaliła chronologię, pokazała np., że Hartman Witwer tworzył samotnie, a warsztat rodzinny Schimserów był szkołą dla wielu późniejszych twórców. Potem była szkoła Parysa Filippiego, z którym związany był Markowski, a potem rodzinne firmy, które przy ulicy Piekarskiej wokół cmentarza miały swoje zakłady. A przecież to wszystko można usystematyzować.

Czy Cmentarz Orłąt podobnie Pana zafascynował?

To bardzo interesujące założenie architektoniczne, ale współcześnie odrestaurowane. Tam zawsze składam hołd tym młodym ludziom, patriotom polskim, bez walki których nie byłoby może dzisiejszego Lwowa. W mojej rodzinie jest taka opowieść związana z obroną Lwowa. Wujek Janek Kukawski, brat mojej babci, którego już wcześniej wspominałem, miał zaledwie 7 lat, gdy Ukraińcy

postanowili przejąć Lwów. Jak to chłopak – był ciekawski i gdy zaczęła się strzelanina, poszedł zobaczyć, co się dzieje. Wieczorem do domu na Sodojowej dotarła wiadomość, że Jaś Kukawski zginął od ukraińskiej kuli. W domu opłakiwano go do późnego wieczora. Kiedy jednak po paru godzinach Jaś pojawił się w domu, okazało się, że zginął inny chłopak, nieco starszy, ale o tym samym imieniu i nazwisku! Znalazłem jego grób na cmentarzu Łyczakowskim. Tymi, którzy aktywnie uczestniczyli w obronie Lwowa, byli wujkowie Adam Kunstman i Zygmunt Kukawski. W listopadzie roku 1918 męską opiekę nad nimi sprawował ich dziadek, a mój prapradziadek, profesor Zygmunt Kunstman. W kilka dni po rozpoczęciu walk obaj chłopcy bez wiedzy dziadka zgłosili się jako ochotnicy do obrony Lwowa. Ale Adam miał 15, a Zygmunt 14 lat i dlatego nie przyjęto ich bez zgody opiekuna. Wartownik odprowadził ich do domu, gdzie dostali obaj od dziadka lanie za samowolę. Następnego dnia jednak sam dziadek zaprowadził obydwu wnuków do tego samego punktu zgłoszeń i zostali ochotnikami. Obaj służyli w oddziale sanitarnym dowodzonym przez dr. med. Lesława Węgrzynowskiego. Zostali uhonorowani Krzyżem Obrony Lwowa. Wujek Adam opowiadał, że nosił go od świętnie do 1939 r., a gdy szedł ulicą, to żołnierze mu salutowali. Krzyż obrońcy Lwowa był dla Lwowiaków świętością!

Dziękując za rozmowę, możemy chyba obiecać Czytelnikom opowieść na temat fascynacji Pana Profesora huculszczyną.

KAZIMIERZ WIECH, ur. 1950 w Krakowie. Tu po maturze w 1968 r. podjął studia na Wydziale Ogrodniczym Wyższej Szkoły Rolniczej. Od 1973 zatrudniony jako asystent w Instytucie Ochrony Roślin Akademii Rolniczej w Krakowie. W 1982 obronił pracę doktorską dot. fitofagicznych chrząszczy ryjkowcowatych. Od 1993 doktor hab., od 1997 profesor AR, a w 2002 Prezydent RP nadał mu tytuł profesora nadzwyczajnego. Od 1980 odbył staże na Uniwersytecie w Kairze, w Stacji Eksperymentalnej University of Georgia w Tifton (USA) i na Uniwersytecie w Reading (Anglia). W 1988 zaproszony do współpracy w Stacji Eksperymentalnej w Hurley (Wielka Brytania). W latach 1995–2000 wyjeżdżał parokrotnie do USA. W latach 1996–1999 oraz od 2002–2007 prodziekan Wydziału Ogrodniczego. Od 2004 r. kierownik Katedry Ochrony Roślin; członek Komitetu Ochrony Roślin PAN.

Adam Tomaszewski

Z poezją od Drohobycza do Australii

... Był rok 1938. Mijała ostatnia wolna polska jesień, mijała ostatnia wolna polska wiosna. Kiedy przesypał się piasek w klepsydrach, padł rozkaz, który oznaczał koniec epoki: *Żołnierze, mierzcie uważnie, żołnierze, strzelajcie celnie.*

Andrzej Chciuk, syn Marii i Michała Chciuków, urodził się w Drohobyczu, w rodzinie ogromnie patriotycznej, powszechnie znanej i szanowanej. Od dziecka wzrastał w atmosferze najlepszych polskich tradycji i wartości. Czterech braci: Antoni, Władysław, Tadeusz i Andrzej – w czasie II wojny światowej biło się w narodowych szeregach o Polskę, siostrę (Stanisławę Sklenarz zamieszkałą w Milwaukee) wywieźli Rosjanie z małutkimi córeczkami na Syberię, rodzice, wywłaszczeni ze swej posiadłości w Drohobyczu, zmarli po wojnie w niedostatku na Śląsku. Polska Ludowa nie chciała czy nie potrafiła upomnieć się o krzywdę swych najwartościowszych obywateli.

Kiedy nadszedł pamiętny wrzesień 1939 roku, kiedy pojawiły się sowieckie kolumny niosące zagładę „uwolnionym” ziemiom, Andrzej Chciuk poszedł jeden z pierwszych na Węgry. Harcerz, sportowiec, redaktor „Włóczęgi”, uczeń Brunona Schulza, student pierwszego roku prawa, przedstawiciel wdeptanego w ziemię, ofiarnego bez granic pokolenia szedł szlakiem „turystów Sikorskiego”, żołnierską drogą do Francji.

Dwudziestoletni ochotnik znalazł się w oddziale zwiadowców Drugiej Dywizji Strzelców i w czasie krótkich, ale krwawych bojów kampanii 1940 roku dostał się do niewoli niemieckiej. W sierpniu tegoż roku udało mu się zbiec z transportu jeńców wziętych do Niemiec.

Reszta okupacji we Francji to dla Andrzeja Chciuka walka podziemna, akcje bojowe, redagowanie nielegalnych pism, zbieranie, magazynowanie olbrzymiego zasobu do-

znań i doświadczeń, co miało później obrodzić tak obfitym plonem w bujnej, różnorodnej twórczości pisarskiej.

Po zakończeniu wojny zamieszkał w Paryżu i kontynuował studia. W roku 1947 ukończył Szkołę Dziennikarską. Pracował później intensywnie, pisywał do prasy polskiej i francuskiej, prowadził w radio audycje oświatowe dla Polaków zamieszkałych we Francji.

W roku 1951 z żoną i dwojgiem dzieci emigruje do Australii. Życie na odległym kontynencie – prawie jak wszystkim emigrantom – nie układało się zrazu pomyślnie... Na początku było ciężko i trudno, gorzko smakował obcy chleb...

Andrzej Chciuk nie był wyjątkiem, w pocie czoła przyszło mu przebijać się ku lepszymu losowi. Przez szereg lat było mu ciężko, zarabiał na życie jako kucharz, ale nie załamał się. Z humorem bronił się złej doli, znalazł odtrutkę na przeciwności życiowe. W maszynie do pisania.

Pisze lekko, dowcipnie, powiększa się krąg czytelników, chociaż nie brakuje niechętnych a nawet wrogów. Chciuk nie liczy się z fetyszami i „świętymi krowami”, tak częstymi wśród naszych społeczności emigracyjnych, pisze pod prąd, nie waha się ośmieszać polonijnych notabli, odbrązawiać nadętych lokalnych wielkości, śmiało atakuje polskie wady i narodowe mity, burzy kapliczki budowane przez oportunistów, kauzypierdów i besserwisserów.

W 1957 roku ukazują się w Instytucie Literackim *Smutny uśmiech* (nagroda „Kultury”). W roku 1960, u tegoż wydawcy, *Rejs do Smithton, Stary Ocean*. W roku 1961 wychodzi *Pamiętnik poetycki*, nakładem przyjaciół w Melbourne. W 1969 najgłośniejsza praca Chciuka *Atlantyda* (Polska Fundacja Kulturalna w Londynie) nagrodzona przez jury „Wiadomości” jako najlepsza książka roku. W roku 1970 ukazują się *Towarzysze z bezpieczeństwa* (PFK), świetnie pokazane



stosunki w zniewolonej Polsce, a w dwa lata później (również w PFK) *Ziemia Księżycowa*. W tym samym roku (1972) Instytut Literacki drukuje tom reportaży *Wizyta w Izraelu*.

Atlantyda i *Ziemia Księżycowa* ewokują drohobycką młodość, miłość autora do „małej ojczyzny”, sugestywnie, wręcz urzekająco pokazują małe sprawy zwykłych ludzi. Jeszcze wrogowie nie zdolali obudzić nacjonalistów, w podkarpackich miasteczkach Polacy, Ukraińcy, Żydzi żyją w zgodzie, po sąsiedzku, zbratani przywiązaniem do swego regionu.

Po szeregu trudnych lat przyszła wreszcie poprawa losu i stabilizacja. Pisarz otrzymał posadę w gimnazjum australijskim w Melbourne, gdzie zaczął uczyć języka francuskiego i historii.

W 1975 roku liczny, rozrzucony po świecie „Klub Drohobyczan” otrzymał nową książkę krajana i ulubionego autora: *Emigrancka opowieść*. Akcja toczy się pod australijskim niebem. Ale równie dobrze mogłaby rozвивać się w Kanadzie czy w jakimkolwiek kraju, gdzie mieszkają Polacy-emigranci. Wśród legionu postaci zaludniających książkę, wśród owych Załęskich, Rózyckowskich, Kotlarków, Wróblewskich, Laskowskich, odnajdziemy bez trudu... samych siebie. Rozpoznamy przyjaciół, znajomych, ludzi spotykanych na co dzień i od święta. Dalszy ciąg *Emigranckiej opowieści* ukończył autor w połowie lat siedemdziesiątych i nazwał *Trzysta miesięcy*. Są to odrębne powieści i chociaż się łączą, każda stanowi odrębną całość. Niestety Andrzej Chciuk nie ujrzał już w druku swego dzieła. Korespondowaliśmy z nim od szeregu lat, wiedzieliśmy, że martwi go los *Trzystu miesięcy*, że szuka wydawcy.

Andrzej Chciuk całym swym życiem, całą swoją twórczością bronił pamięci zrabowanej nam przez wroga połowy Polski. W książce *Trzysta miesięcy*, którą wydaje Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, broni czegoś więcej. Polskiego być albo nie być, prawa narodu do samostanowienia o sobie, prawa Polaków do wolności.

Wolność zdobywa się tylko w walce.

Powyższy tekst był drukowany w australijskim „Tygodniku Polskim” (1983), a ponownie, z pewnymi skrótami, w „Biuletynie Koła Lwowian” nr 46/1983, Londyn.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

RZĘSNA POLSKA I RUSKA

Rzęsnę Polską, położoną 8 km na północny-zachód od centrum Lwowa, wzdłuż gościńca lwowsko-jaworowskiego, założył arcybiskup lwowski w r. 1433. Już jednak w r. 1430 przeniósł Władysław Jagiełło tamtejsze posiadłości biskupstwa łacińskiego lwowskiego (nazwane w odnośnym dokumencie „Rzanssna”) na prawo niemieckie. Początkowo posiadłość należała do parafii kościoła Marii Śnieżnej, aż w r. 1614 założono i tam parafię rzymskokatolicką, zaś w r. 1742 postawiono na miejscu dziś stojącego kościoła – dawny, drewniany.

Miasto Lwów, którego własnością była sąsiednia osada Biłohorszcze, procesowało się od r. 1460 do 1548 o granice między tą wsią a Rzęsną, po czym ostatecznie sprawę uregulowała dobrowolna ugoda, wytyczająca ściśle granice dotąd sporne. Zanim wieś ta weszła w skład Wielkiego Lwowa, liczyła zgodnie z przedwojennymi danymi 2031 mieszkańców, niemal wyłącznie polskich, na obszarze 18,5 km².

Położona 2 km dalej na północny zachód Rzęsna Ruska nad potokiem Biłohorskim, wzniesiona 325 metrów nad poziom morza – łączy się pierwotną osadą, nazwaną Tuziakami. W r. 1880 zanotowano tu 743 mieszkańców, których liczba wzrosła przed obecną wojną do 946 na powierzchni gruntów liczącej 7,3 km². Rzęsna i jej sąsiednie wzgórza są pamiętnym terenem bitwy z 21 czerwca 1915, w czasie której Rosjanie ponieśli klęskę i zostali zmuszeni do opuszczenia nazajutrz Lwowa.

Tekst opracował T. Krzyżewski (1943)

WSCHÓD. ZACHÓDⁱ

TRYNITARZE

Dobrze pamiętamy (i pamiętać będziemy), że obecna – od początku XX w. – cerkiew greckokatolicka Przemienienia (*Preobrażenia*) przy ul. Krakowskiej we Lwowie była dawnym kościołem oo. Trynitarzy

(z XVIII w.). Trynitarze – zakon św. Trójcy* – został założony w XII wieku w południowej Europie (Włochy, Hiszpania) w celu prowadzenia wykupu porwanych przez muzułmańskich najeźdźców Europejczyków-katolików.

W XVII/XVIII w. akcja taka okazała się potrzebna również w Polsce, na skutek nieustannych najazdów tu-

reckich na nasze ziemie pd.-wschodnie i czasowego opanowania pd. części Podola (1672–99). W Rzeczypospolitej założono kilka klasztorów zbierających fundusze na redempcję, a główną placówką Trynitarzy został Lwów i stąd, a także Kamieńca Podolskiego, wyruszała większość wypraw do Turcji. Kościół i klasztor Trynitarzy powstał też w Krakowie przy ul. Krakowskiej (dziś jest to siedziba oo. Bonifratrów). Trynitarze istnieją nadal, jednak ich działanie dotyczy już innych spraw.

W 1998 r. katolicka Europa obchodziła 800-lecie istnienia zakonu Trynitarzy (1198), w tym roku mija lat 815. Z okazji jubileuszu wydano we Włoszech serię obrazków – dostaliśmy je dopiero niedawno. Pokazujemy jeden z nich Czytelnikom, prosząc o wspomnienie o tych, którym nie dane było wrócić do Ojczyzny. Także w naszej epoce – z *nie-ludzkiej ziemi* na Syberii lub Kazachstanie.

* Po łacinie: *Ordo Sanctae Trinitatis pro Redemptione Sclavorum* – Zakon Świętej Trójcy dla Wyzwolenia Niewolników.



Zakonicy trynitarzy



MODA NA HERBY

W Polsce zapanowała moda na nadawanie herbów miejscowościom, które ich dotąd nie posiadają, lub mają, lecz niezgodne z zasadami heraldyki. Dotyczy to głównie tzw. Ziem Odzyskanych, ale nie tylko.

Oto ostatnio komisja heraldyczna akceptowała herb dla gminy Lełków w woj. warmińsko-mazurskim. Co tam widzimy? Dwa krzyże, *polski* i greckokatolicki oraz kroczącego wilka z chorągwi krzyżackiego komturstwa w Baldzie, na której terenie leży gmina.

Uf, ciężka sprawa. Po pierwsze – co to jest krzyż *polski*, chyba chodzi o łaciński.

Bo dlaczego w takim razie nie napisano – *per analogiam* – krzyż *ukraiński*, lecz greckokatolicki? I w ogóle po co akcentuje się owo w części niepolskie zaludnienie tzw. ziem odzyskanych? Czy nie może to pociągnąć za sobą podobnych tendencji w innych gminach tamtych ziem? I nie tylko tamtych...

A ten krzyżacki wilk? Tu na obronę – to jednak jest historia. Ale chyba nikt nie przeżył tych spraw!

Podobne myśli nasuwają się, kiedy dowiadujemy się o kolejnym „festiwalu cześci kultury” w Łodzi. Czy nie mamy powodów, by w Polsce nie gubić pierwszeństwa polskości?

Prezentujemy wiersze dwóch – nieżyjących od niedawna – niezwykłych Pań, które osiadły i spędziły niemal całe swoje trudne, ale godne i twórcze życie, w dwóch szczególnych (każdym w swoim rodzaju) miejscach, położonych na wschodnim skraju naszych utraconych Ziemi: Mieczysława Piotrowskiej w Zaleszczykach oraz Ireny Sandeckiej w Krzemieńcu.

Nie były profesjonalnymi poetkami, były nauczycielkami, i w powojennych latach – póki było to możliwe – przekazywały polskiej młodzieży wiedzę i patriotyzm. Poezję tworzyły z potrzeby serca...

Irena Sandecka

Góra Królowej Bony w Krzemieńcu

(widok z gór Osowicy i Wołowicy)

Nad przepychem zieleni soczystych kolorów,
Wśród których świeci biała wieżyczka kościoła,
Króluje Góra Bony – przy niej damy dworu –
Góry jednakie wzrostem, strojne w las i ziola.
Oto ciężą na czoło Bony ciemne mury,
Aż tu nagle ich białosć wykwita u skroni,
Bo właśnie niknie w dali cień ogromnej chmury,
Którą obłok przejrzysty po błękiecie goni.
Pójdź wyżej! Cudowny widok ogarniesz oczami,
U stóp twych, jak olbrzymia muszla perłopławu,
Dolina krzemieniecka migoce barwami,
Usłana zielonością, jak mchem w głębi stawu.
Tam dalej brzegi muszli szarością błyszczące,
Gór dziewiczych groźnymi skałami zjeżone.
Blisko, wyniosła postać Bony, w blasku słońca,
Niżej – w domy i domki strojne górskie skłony.
Na samym dnie doliny, ukryty dla oka,
Wąski potoczek – Ikwa – pośród jarów płynie,
Ponad wszystkim – niebiosów kopuła wysoka,
Ku której wznoszą wieże odwieczne świątynie.
Pośród gmachów – Liceum pięciu wieżycami
Jakby otwartą dłońią w jasność nieba godzi,
Obrócone ku Bonie frontem i skrzydłami,
Jak najwierniejszy wasal u zamku podgrodzi.
Widoku nieznównany, a zawsze odmienny
W kołowaniu pór roku i grze oświetlenia,
W pamięci i na jawie jednak bezcenny
Dla tych, którzy wyrosli w dumnej Bony cieniu.

POEZJA

Mieczysława Piotrowska

Ballada o ruinach twierdzy

przeszłość skamieniała w tym miejscu
jak marmur
i nic jej stąd nie ruszy
pieczęci na wiek wieków przybitej
przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą
u góry namiot lipcowego słońca
w dole krąg ruin umarłych wałów
w kosmatym gąszczu krzaków
czas marnie przepada
na resztkach murów senny motyl siada
chudy i smętny anioł nim utonie
w chmurach
krażąc nad zamkiem gubi z skrzydeł pióra
jak krogulec lub czajka...
jakim byłeś poruczniku
coś nocne sprawiał ronty
czyli sprawdzałeś strażę
a skąd byłeś wąsaczu pilnujący lontów
wycelowanych w ciemność ognistym pazurem
roznosząc zapach traw i dojrzałego piołunu
na horyzoncie warczały pioruny...
jakie książki w komnacie miałaś pani Zofio*?
tylko psalterze?
czy może coś i o sławnych rycerzach
że potem wyszłaś na szaniec –
odwieczny teraz twierdzy komendancie...
bywało smętnie, okrutnie i dziko
w podziemiach marły gromady łotrzyków
a może tylko zwykłych nieszczęśników...
i złe i dobre pospołu zmieszane
ścigało się wśród mroków historią nawianych
z potężnych brył pamięci trwała budowla
stara twierdza na kresach – Trembowla...

* Chodzi o Zofię Chrzanowską

Wiersze pochodzą z tomu „Gdzie jesteś Ojczyzno”, wyd. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Warszawa 1996. Wiersze zebrała i zredagowała Teresa Dutkiewicz.

CZARTOWSKA SKAŁA

Można gościńcem Łyczakowskim, można i drogą Krzywczycką, a zawsze się dusza uraduje – to białym szlakiem, który wzdyma się i opada jak pierś nadobnej dziewczyny – to wreszcie leśną, wykrętną drożyną, piękną jak wymarzone śnienie studenta, podlotka lub starej panny. Bo Łyczaków zachował jeszcze trochę kokieterii na swoich odętych pagórkach, spadzistych wąwozach, rozsiadłych przy ziemi chałupkach. Jeszcze się Kajzerwaldu wycięty lasek naszczerzy resztką wytrzebionej drzewiny, jeszcze gdzieś gdzieś gliniaste porysowane parowy, rozpęknięte garby dadzą złudzenie aż... wierchów tatrzańskich. Tak jest, wirchów smreczystych, bo pewien oryginalny zakopiańczyk, osiadłszy we Lwowie, zamieszkał na ulicy Leśnej i powiada, że „rankiem se chodzi wirchami” łyczakowskimi i dobrze mu jest.

Jeżeli jednak ów oryginalny zakopiańczyk zaaklimatyzuje się naprawdę we Lwowie – to z pewnością nie pójdzie na „Czartowską Skałę”, bo to dla lwowianina za daleko. Ho! Ho! Czartowska Skała! „Taże to kawał drogi”, a człowiek nóg swoich nie wygrał na loterii przecież, ani nie kupił na tandecie. Z pewnym więc zgorszeniem patrzy osiadły obywatel na wisusa studenta, co w gronie kolegów, podobnych jak i on wisusów, pędzi nie wiedzieć po co na Czartowską Skałę, nie może zrozumieć manii turystycznej akademika, a już splunąłby z indygnacją na widok rodziny, któraby w niedzielę, zamiast dusić się w kurzu placu wystawowego, zechciała odetchnąć świeżym powietrzem lesienickiego boru. Zresztą lwowianin na samej ulicy Łyczakowskiej za dużo ma pokus, aby się mógł im oprzeć i nie osiąść gdzieś po drodze na mieliźnie. Zaledwie bowiem minie otwarte na oścież podwoje szynku „pod rakiem” czyli po lwowsku „pod krebsem” i drugiego przybytku „pod turkiem”, już go woń piwnego „pod gołąbkami” uderzy ogródka i pana Piotra restauracja, Kijaka – po przejściu zaś rogatki, vulgo „kopytkowego drąga” już mu Knośef z dala „ogrodem zdrowia” powiewa, a bardzo wreszcie hartownej woli potrzeba, aby się oprzeć urokowi lesienickiego prazdroju – browaru Grunda.

Gdy tedy obywatelu lwowski miniesz jak Odyseusz owe Scylle i Charybdy, one syreny, co wabią zdradziecko rzępołem skrzypiec i rozdętymi dudami katarynki, możesz sobie powiedzieć jak pierwszy lepszy austriacki feldfebel: „ist gut” i maszerować dalej, aż do siódmego słupka kilometrowego między Lwowem a Winnikami.

Oh! Ty lwowski obywatelu! Ty, któryś wołowym barytonem – ryczał w kościele na majowym nabożeństwie – „chwalcie łąki umajone!” i tremolando ciągnął „góry i doliny zielone” i grzmiał wreszcie fortissimo „chwalcie cieniste gaiki, źródła i kręte strumyki” – ty, obywatelu lwowski, skręć koło siódmego słupka kilometrowego w lewo i popatr – popatr, jak to wszystko chwali Pana Boga, jak nawet z najwyższej skały onej „czartowskiej kazalnicy” grzmi pieśń potężna, której gardło twoje zapite nigdy wyśpiewać nie zdoła. Oh! ty lwowski obywatelu!

I jeszcze popatr na źródła, zakręty, wyboje, na skaliste złomy, na leśne zaułki, na cały wreszcie majestat „Czartowskiej Skały”, abyś poznał i zrozumiał, co jest czar przyrody, jej uśmiech słodki, jej zwalista powaga i ogromnych głazów utajona potęga. To nie szatro ceglane, które się pompatycznie kamienicą nazywa, ani bruk trembowelskim ciosem wyłożony, ani wreszcie ogrodu jezuickiego wydeptana ścieżka – ale to jest moc i potęga, to piękność i uroczne szepty wiosny, to powaga gwaru lasu i skalistych zboczy, śpiew martwy, a tak bardzo dojmujący. Nie jest Czartowska Skała spacerowym ogrodem, ale pobojowijskim tajemniczych mocy, które się zwały ku górze i tak na zawsze zakrzepły i zmartwiały.

To tak, jakby spieniona ziemia wzniosła się nagle pasmem wzgórz od Lwowa i sunąc chciała wzdłuż łyczakowskiego gościńca, na Winniki. Co ją w drodze wstrzymało, nie wiadomo, dość, że tuż nad Lesienicami urywa się nagle przyczółkiem wzniesionym do 418 metrów ponad poziom morza i tworzy tzw. „Czartowską Skałę”. Jest to najwyższy punkt w całej okolicy Lwowa, przewyższa go tylko nieco sam szczyt kopca na Wysokim Zamku. Las stary bukowy podchodzi aż pod sam wierzchołek wzgórza, u którego stóp bije małe źródelko, wyżej ułożyły się piaski zielonawe, a stromymi zboczami pnie się wysoka droga aż na sam szczyt Czartowskiej Skały.

Pionowo sterczące skały z wapnistej piaskowca odsłonięte są nagle od północy i piętrzą się na kilkanaście metrów wysoko, pionową skrzesaną ścianą, którą lud miejscowy powszechnie nazywa „kazałnicą czartowską”. Skała ta przypomina nieco podobne wybryki natury w okolicy Pieniak (Wysoki Kamień) i Podkamienia (słup kamienny pod klasztorem). Poniżej skały czartowskiej, na mocno spadzistym stoku północnym, rzucił ktoś przed wiekami „garść” głazów o rozmaitych, często fantastycznych formach, objętości kilku do kilkunastu metrów sześciennych.

Od strony gościńca łyżczakowskiego i Winnik otula całą górę las bukowy, zwany na mapach „lasem żupan”. Tak więc w starożytnym żupanie śpi sobie i drzemie „Czartowska Skała” nad słuchując tylko huku rozsadzanych prochem i kilofami bloków swoich kamiennych.

Bo Czartowska skała, od dawna już, od półwieku, a może i dłużej, karmi wnętrzem swoim okoliczne drogi i dostarcza kamienia każdemu, kto ma prawo założyć tam kamieniołom. Jest to jedyne jej bogactwo i jedyna chluba, bo podczas gdy Wysoki Zamek lub Piaskowa Góra ulokowały swe fundamenta na samym tylko, tak dobrze we Lwowie znanym, białym piasku, Czartowska Skała aż po sam swój wierzchołek jest kamienna. Bogactwo to jednak bodaj czy nie stanie się wkrótce przyczyną jej zagłady. Już dziś Czartowska Skała świeci dziurami wybranego kamienia, a dziury te coraz się powiększają, coraz bardziej zmieniają samą postać wzgórze, które dzięki dwom

kamieniołomom, co się wpiły w jego ciało, gotowe zniknąć niebawem w naturalnym swym majestacie, a zmienić się w płaskie, banalne wzniesienie, podobne do trywialnej, pękatej niewiasty. Bywa zresztą i tak na świecie, ale mimo całego szacunku dla użyteczności kamieniołomów, niepodobna oprzeć się wrażeniu, że przecież szkoda tak pięknego zabytku przyrody, który od wieków nadawał krajobrazowi lwowskiemu wybitną, charakterystyczną cechę, a sam zasługuje jednak na coś innego aniżeli na zatykanie dziur na drodze. Być może, że Namiestnictwo lwowskie znajdzie jaki sposób zakonserwowania „czartowskiej skały”, która zresztą w wykazie przedłożonym ministerstwu umieszczoną została w rzędzie zabytków przyrody, zasługujących na ochronę.

Lwów tak brutalnie i bezwzględnie rozpiera się i niszczy swoje piękne do niedawna jeszcze okolice, że częściowe przynajmniej ratowanie tego, co się bez szkody dla nowożytnych potrzeb lub kolei Lwów–Podhajce da uratować, jest obowiązkiem tych, którzy kochają swoje miasto.

Przyznać trzeba, choćby to nawet trochę i przykro było, że Niemcy lwowscy z połowy dziewiętnastego wieku bardziej się zachwycali okolicą Lwowa aniżeli my dzisiaj. W świąteczne dni wybierały się rodziny biurokratyczne za miasto, rozkładały wszędzie, gdzie tylko przyroda hojną dłońią rozsypała swe dary i połyły się jej urokiem sentymentalne Niemki, wzdychały nawet filister biurokrata. Z tego sentymentu i z westchnień owych



filisterska urosła nawet miniaturowa literatura niemiecka, opiewająca okropnym wierszem, płaczącymi tony, a z nieodstępnym czarno-żółtym sosem piękność okolic Lwowa. Co prawda mdło i niedobrze się robi, gdy się czyta poetyczne sielanki w guście *Spaziergange eines lemlberger Poeten, von Łyczaków nach Kieselka* albo drugie: *Lembergs schoen Umgebungen*, ale zawsze sielanki te były, czytały je rozmamlane Niemki i przepojeni piwem ich mężowie, a w niedzielę biegło to wszystko za miasto, zaludniało skromne wzgórki romantycznymi balladami w stylu swojego czasu i gdyby nie posunięta aż do obrzydliwości cikliwość, można by czuć nawet pewną sympatię dla tych, którzy niedaleko szukali przedmiotów swojego podziwu.

Naturalna rzecz, że „czartowska skała” wraz z całą swoją naprawdę romantyczną okolicą w pierwszym rzędzie stanowiła źródło natchnienia dla wieszczów lwowskich. Bo co dziś widzimy na Czartowskiej Skale, to tylko szczątki tych cudów przyrody, które się tu rozciągały jeszcze w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Wówczas cała przestrzeń ku wierchołkowi zasiana była skałami, co siwe od starości, to porośłe mchem zielonym lub czerwonym, wyginały się w fantastyczne nieledwie kształty. Widział w nich niedzielny wycieczkowiec to formy lwa gotującego się do skoku, lub rozpasaną architekturę diabelskiej kapliczki, zarysy spoczywającego krokodyla, lub wreszcie skalisty ołtarz ofiarny, otoczony krwawymi hienami. Niektóre skały, obrosłe niebieskim kwieciami niezapominajek, patrzyły martwo a dumnie na czerwony dach folwarku, co się ścieliło u podnóża góry, lub malutka chatka małżonków Baczyńskich, staruszków, których publiczność lwowska nazywała Filomenem i Baucydą, lub wreszcie cały ogromny obszar, który od widnokregu do widnokregu roił się wioskami o „dziwnie zakrojonych kształtach” i panoramą Lwowa wraz z lewkiem na wieży ratuszowej i majestatycznymi kopułami św. Jura. A dalej tajemnicze groty, jakieś zwaliska, niby to mury Cyklopów, jakieś przejścia podziemne, a nad tym wszystkim niepodzielnie panujące trzy olbrzymich rozmiarów głazy łyse i nagie i aż potworne w tej swojej nagości, na której turysta i wycieczkowiec chętnie rył swe nazwisko i szczyrym uwieczniał pobyt swój na Czartowskiej Skale.

SYLWETKI

ADWOKAT, DZIAŁACZ, FILANTROP

JÓZEF MALINOWSKI
(1819–1890)

Józef Malinowski urodził się w 1819 r. we Lwowie. Tam pobierał nauki gimnazjalne, tam też ukończył studia prawnicze. Następnie wyjechał do Wiednia, gdzie uzyskał na tamtejszym uniwersytecie doktorat z prawa. Po powrocie do kraju w roku 1839 wstąpił na praktykę do lwowskiej Prokuratury Skarbu. Wkrótce jednak postanowił porzucić służbę rządową i rozpoczął wykonywanie praktyki kandydata adwokackiego we lwowskich kancelariach Michała Tustanowskiego i Jana Czajkowskiego. W sierpniu 1850 r. został mianowany przez ministra sprawiedliwości adwokatem nadliczbowym z siedzibą urzędową we Lwowie i jeszcze w tym samym roku złożył wymaganą prawem przysięgę służbową. W 1855 r. otrzymał stałą nominację na adwokata i musiał przenieść się do nowej siedziby w Złoczowie. Po roku uzyskał zgodę na powrót do Lwowa, gdzie wykonywał praktykę adwokacką do śmierci. Z chwilą powołania samorządu adwokackiego i utworzenia we Lwowie Izby Adwokatów był wybierany do jej organów statutowych. W 1884 r. został wybrany na stanowisko wiceprezidenta Izby Adwokatów i pełnił ten urząd do śmierci. W roku 1881 Józef Malinowski był dwukrotnie powołany na członka Trybunału Stanu.

Józef Malinowski położył także ogromne zasługi na rzecz lwowskiego Kasyna Miejskiego, był bowiem jednym z głównych pomysłodawców jego założenia. Należał do autorów statutowych Kasyna i był jego organizatorem w pierwszych latach działalności. Praca i zaangażowanie na rzecz tego stowarzyszenia skłoniły po kilku latach członków Kasyna do wyboru Malinowskiego na prezesa tego zrzeszenia. W okresie blisko dziesięcioletnim pełnienia tej funkcji Józef Malinowski doprowadził do budowy we Lwowie okazałego gmachu Kasyna, przekazał też na rzecz kierowanej przez siebie instytucji zbiory książek, które posłużyły do za-

łożenia biblioteki. Przejawem zamiłowania Malinowskiego do sztuki było jego wieloletnie członkostwo w dyrekcji Zjednoczonego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie. Z funkcji tej zrezygnował dopiero we wrześniu 1887 r. Malinowski był też współorganizatorem, a następnie członkiem, wiceprezesem oraz prezesem Towarzystwa Muzycznego we Lwowie. Nadto należał do szeregu innych stowarzyszeń galicyjskich, które poza osobistą pracą zawdzięczały mu również wsparcie finansowe. W dowód uznania Józef Malinowski otrzymywał tytuły członków honorowych tych zrzeszeń.

Mimo licznych zasług na rzecz lwowskich instytucji Józef Malinowski zastąpił bez wątpienia jako twórca założonej w roku 1880 fundacji jubileuszowej dla uczczenia cesarza i króla Franciszka Józefa. Znaczna wartość majątku fundacyjnego oraz cele fundacji skłoniły lwowską radę miejską do nadania Malinowskiemu w lipcu 1881 r. tytułu honorowego obywatela Lwowa. Również cesarz, doceniając akt Józefa Malinowskiego, przyznał mu Order Żelaznej Korony trzeciej klasy. Ustanowiona przez Malinowskiego fundacja została podzielona na sześć odrębnych funduszy przeznaczonych na cele wskazane w akcie fundacyjnym. Pierwszy fundusz został przeznaczony dla adwokatów lwowskiej Izby, którzy na skutek kalectwa lub choroby zostali pozbawieni możliwości zarobkowania. Nadto z funduszu mogły być wypłacane kwoty dla wdów po adwokatach, o ile po śmierci małżonków pozostały bez środków utrzymania. Fundusz adwokacki dysponował dwoma, wypłacanymi rocznie, zasiłkami przyznawanymi decyzją Wydziału Krajowego na rzecz osób zaproponowanych przez Wydział lwowskiej Izby Adwokackiej. Zaznaczyć warto, że z pomocy fundacji Józefa Malinowskiego korzystali adwokaci do chwili wybuchu pierwszej wojny światowej. Drugi fundusz został przeznaczony dla ludzi kultury oraz sztuki i obejmował dwie kategorie wsparcia finansowego. Kolejna fundacja miała na celu wsparcie działań Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, które o ile chciało skorzystać ze środków fundacyjnych, musiało organizować dorocznie dwa przedstawienia muzyczne w salach Kasyna Miejskiego. Czwarta fundacja Malinowskiego została w całości przeznaczona na rzecz

ubogiej służby prywatnej wyznania chrześcijańskiego. Dwa ostatnie fundusze przeznaczone były na wyposażenie rocznie dwóch posagów dla biednych panien służących i dla wspierania finansowego potrzebujących chłopców pobierających naukę rzemiosła.

Józef Malinowski zmarł bezdzietnie 8 lutego 1890 r. we Lwowie. Został pochowany wedle życzenia na cmentarzu Łyczakowskim.

Tomasz J. Kotliński

LITERATURA

Dr Józef Malinowski, „Gazeta Narodowa”, 1890, nr 33

Fundacja śp. Kazimierza Malinowskiego, „Gazeta Narodowa”, 1890, nr 168

Miasto Lwów w okresie samorządu 1870–1895, Lwów 1896.

Szanowni Państwo!

Ukazał się drukiem następny tom monografii z cyklu:

Szkoły lwowskie – monografie

Historia szkolnictwa, oświaty i wychowania na ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – Kresach południowo-wschodnich.

Tom X tej monografii (w dwu częściach) pt.

PAŃSTWOWE GIMNAZJUM AKADEMICKIE

we LWOWIE, lata 1779–1926

cz. 1: lata: 1779–1876/77

cz. 2: lata: 1877/88–1926

Kraków, 2013: wydanie drugie

Zainteresowanych nabyciem tej monografii proszę o kontakt:

J. Kowalczyk, ul. Lublańska 24/2;

31-476 Kraków

tel. +48 12 411 36 41;

e-mail: kajot@op.pl lub kajot@agh.edu.pl

Jednocześnie informuję, że koszty związane z zakupem tego tomu monografii są następujące:

część 1 – stron 398, cena 80 zł

część 2 – stron 526, cena 85 zł

Cena łączna dwu części X Tomu: 165 zł

plus koszty przewoźni i wysyłki (w przypadku żądania faktury proszę podać NIP)

KAZIMIERZ PANEK

Nikt już z naszego lwowskiego środowiska, nawet najstarsze osoby, nie mogą bezpośrednio pamiętać ciekawej postaci Kazimierza Panka (1878–1935), nie-lwownina, ale który jednak na część swego życia związał się – i to nie byle jak – ze Lwowem.

Urodził się w Oświęcimiu, szkoły i studia medyczne ukończył w Krakowie. Po doktoracie (1897) rozpoczął pracę na UJ, ale w 1900 r. przeniósł się na Uniwersytet Lwowski i rozpoczął pracę jako asystent. Ale trzy lata później rozpoczął drugie studia: w lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Odtąd błyskawiczna kariera: w 1906 r. został profesorem, a w latach 1918–20 był rektorem tej uczelni. I jeszcze docentem higieny na dwóch innych lwowskich uczelniach: na Politechnice i na Uniwersytecie. Redagował fachowe czasopisma, a w 1914 r. zorganizował we Lwowie pierwszy ogólnopolski zjazd higienistów. W latach 1914–16 kierował centralnym laboratorium bakteriologiczno-epidemiologicznym w Wiedniu, w Galicji założył 14 szpitali zakaźnych. Został członkiem Najwyższej Rady Zdrowia Austrii.

W 1920 r., czyli zaraz po I wojnie, przeniósł się do Bydgoszczy, zajmując tam wysokie stanowiska i podejmując ważne prace organizacyjno-zawodowe. Tam też przedwcześnie zmarł.

Tu trzeba wyjaśnić, że owo przeniesienie się na teren b. zaboru pruskiego wynikało prawdopodobnie z braku tam polskich fachowców, a nawet więcej: polskiej inteligencji, przy równoczesnej jej „nadprodukcji” we Lwowie (wobec utraty jego pozycji stołecznej) i Krakowie. Wielu specjalistów osiedlało się na Górnym Śląsku, w Wielkopolsce, na Pomorzu, a także na ziemiach b. zaboru rosyjskiego: w Warszawie (profesorowie na uczelniach), na Wileńszczyźnie i Wołyniu, zyskując tam lepsze warunki awansów i finansowe.



Kazimierz Panek od początku XX wieku należał do „Sokoła” we Lwowie, potem odegrał ważną rolę w rozwoju polskiego skautingu. Uczestniczył w organizowaniu skautowych kursów instruktorskich w Skolem i Lwowie. W latach 1914–18 był naczelnym komendantem skautowym, a w 1918 r. zorganizował dwa międzydzielnicowe zjazdy, które doprowadziły do zjednoczenia wszystkich organizacji skautowych z trzech zaborów.

Uprawiał taternictwo, wytyczał nowe szlaki. W swoim lwowskim okresie utworzył Klub Wysokogórski i był jego pierwszym prezesem, a w 1907 r. założył Karpackie Towarzystwo Narciarzy i przewodniczył mu przez kilka lat.

Tu chcemy Czytelnikom zadać pytanie: czy ktoś ze starszych lwowian pamięta nazwisko Kazimierza Panka (jego samego nie mogą pamiętać, bo wszak ze Lwowa wyjechał w 1920 roku). Może Wasi Rodzice go znali i w rodzinnych gronach wspominali? O takie wspomnienia prosi ktoś z Bydgoszczy, kto przygotowuje książkę o K. Panku. A więc – oczekujemy na wiadomości.

Życiorys K. Panka (w skrócie) zaczerpnęliśmy z Polskiego Słownika Biograficznego (zeszyt 104, 1980).

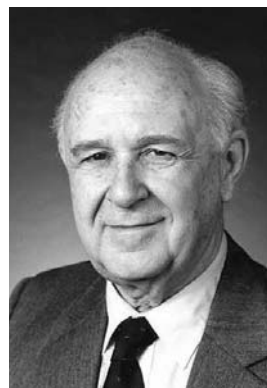
WACŁAW SZYBALSKI

Profesor dr hab., doktor honoris causa UJ

Uchwała Senatu UJ z 25 kwietnia 2012:

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego postanowił przyznać Panu Profesorowi Wacławowi Szybalskiemu godność doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, w szczególności:

– **za niezwykle znaczące w skali międzynarodowej osiągnięcia naukowe, w tym zainicjowanie licznych nowych obszarów badawczych w zakresie genetyki, mikrobiologii, biologii medycznej i biologii syntetycznej;** ►



EUGENIUSZ CYDZIK

Odszedł wspaniały Człowiek, Polak, Żołnierz. Nie był lwowianinem z urodzenia – pochodził z Grodzieńszczyzny, której historia od XX wieku niewiele różni się od naszej – wschodniomałopolskiej. Urodził się w 1921 roku. Jego walka za Polskę zaczęła się, gdy był jeszcze dorastającym młodzieńcem. Po zajęciu przez Sowietów naszych Wschodnich Ziemi związał się z Armią Krajową, brał udział w operacjach oddziałów leśnych przeciw pierwszemu okupantowi. Ten rozdział walki skończył się dlań dramatycznie: aresztowanie i zsyłka do Workuty z 15-letnim wyrokiem, praca w kopalni.



Eugeniusz Cydzik przed laty

Na ziemię polską wrócił po wojnie. Dzięki poznanej na Sybirze lwowskiej dziewczynie osiadł na dalsze lata życia we Lwowie i tu przez kilka dziesięcioleci wykazał się niezwykłą liczbą inicjatyw i dokonań. Pan Eugeniusz i Jego żona Czesława pierwsi zaczęli stawiać na szczątkach grobów Obrońców Lwowa własnoręcznie wykonywane lampiony – a do tego trzeba było odwagi.

- **za wieloletnią pomoc udzielaną polskiej nauce i polskim badaczom, w tym z Uniwersytetu Jagiellońskiego, w szczególności przez stwarzanie możliwości pracy w laboratorium Profesora na Uniwersytecie Wisconsin w Madison, USA;**
- **propagowanie dobrego imienia Polski i polskich ośrodków akademickich i wspieranie aktywności naukowej i dydaktycznej w Polsce.**

Prof. Ewa Łojkowska (skrót recezji):

Poznałam Profesora w czasie odbywania stażu podoktorskiego w Department of Plant Pathology University of Wisconsin-Madison. Nie miałam przyjemności współpracować z Profesorem naukowo, ale od wielu lat jestem z Nim zaprzyjaźniona, a szczególnym wyrazem tej przyjaźni było powierzenie mi w roku 2009 prowadzenia Fundacji Jego imienia, której głównym celem jest działanie na rzecz wzmocnienia międzynarodowego prestiżu nauki polskiej oraz miasta Lwowa.

To właśnie w tym mieście Wacław Szybalski urodził się w roku 1921. Lwów ukończył nadzwyczaj, w nim spędził dzieciństwo, szkolne lata, tu też poznał ludzi, którzy wpłynęli na Jego dalsze życie, a przede wszystkim ukształtowali Go jako człowieka żądnego wiedzy, wspaniałego naukowca i wielkiego patriotę.

Studia rozpoczął we Lwowie na Wydziale Chemii Politechniki Lwowskiej, a ukończył je w roku 1945 w Gliwicach. Jak sam mówi, wielki wpływ na Jego zainteresowania wywarł lwowski profesor Adolf Joszt, który już wtedy roztaczał przed studentami perspektywy rozwoju biotechnologii.

Doktoryzował się w 1949 r. na Wydziale Chemii Politechniki Gdańskiej równocześnie organizując tam Zakład Technologii i Fermentacji Żywności.

Po ukończeniu doktoratu wyjechał do Kopenhagi, do laboratorium profesora Winge, a w 1951 r. do USA, gdzie przez 5 lat pracował w Cold Spring Harbour Laboratory, badając mechanizmy genetyczne warunkujące odporność bakterii na antybiotyki, i uczestniczył czynnie w narodzinach biologii molekularnej bakterii. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych został zaproszony przez noblistę, profesora Waksmana, wynalazcę streptomycyny, do podjęcia pracy w Institute of Microbiology Rutgers University w New Brunswick. W 1960 r. rozpoczął pracę w McArdle Laboratory for Cancer Research University of Wisconsin-Madison. Tam kontynuuje swoje życie i pracę – do dzisiaj.

Ogromny dorobek Profesora składa się z ponad 300 publikacji. Kilkanaście z nich zostało opublikowanych w tak znaczących czasopismach jak *Science* czy *Nature*.

Po powstaniu Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej zaczęli myśleć o odrodzeniu Cmentarza Orłąt i kwatery Obrońców na Cmentarzu Janowskim. Potem rozciągnęli te inicjatywy na mogiły Września 1939 r., na kwatery powstańcze z 1831 i 1863 roku oraz w Zadwórzcu. Z Jego m.in. inicjatywy ustawiono w 1995 r. nagrobek profesorów lwowskich zamordowanych na Wulce w 1941 r.

W latach 1984–1991 pełnił funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, później zachował godność honorowego prezesa.

Miał jeszcze wiele innych planów dla upamiętnienia grobów polskich żołnierzy poległych w okolicach Lwowa. W 2006 r. wraz z Żoną otrzymał zaszczytne odznaczenie Kustosza Pamięci Narodowej. Zmarł z końcem roku 2012.

Profesor Wacław Szybalski przyczynił się do rozwoju całego szeregu kierunków badań, przede wszystkim w sposób fundamentalny do rozwoju genetyki molekularnej.

Rzadko spotyka się naukowców o tak szerokich zainteresowaniach i osiągnięciach naukowych. Ogromne osiągnięcia Profesora zdobyły sobie uznanie, którego wyrazem są już uzyskane przez Niego wyróżnienia, jak i pełnione funkcje.

W Polsce jego zasługi uhonorowano doktoratami honoris causa – Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie, Akademii Medycznej w Gdańsku. W zeszłym roku został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Od 1994 roku jest członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk.

W ostatnich latach poza pracami związanymi z prowadzonymi przez Niego badaniami przygotował między innymi wspomnienia o słynnym lwowskim matematyku profesorze Stefanie Banachu i o swoich nauczycielach: profesorach Emecie Symie i Rudolfie Weiglu.

Od redakcji CL: chcielibyśmy dodać, że w roku 2007 Profesor ufundował kryształową tablicę poświęconą Polskim Profesorom zamordowanym przez hitlerowców w 1941 roku we Lwowie, odsłoniętą w Jego obecności 24 czerwca 2008 roku w Instytucie Biofizyki i Biochemii PAN w Warszawie.

W Krakowie i dalej

Nowy Zarząd TMLiKPW w Krakowie

19 października 2012 r. odbyło się zebranie wyborcze Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, na którym wybrano nowy 11-osobowy Zarząd na kadencję 2012–2016.

Prezesem został ponownie Adam Gyurkovich, wiceprezesem Stanisław Czerny, skarbnikiem Edward Adles, sekretarzem Zarządu obrano Annę Madej (Klub Tarnopol), członkiem prezydium Zarządu Krystynę Stafińską (Klub Stanisławów). Redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia-Leopolis” jest nadal Andrzej Chłipalski.

Pozostali członkowie Zarządu: Ryszard Defort, Ryszard Kucala (nowy członek), Urszula Kogut, Barbara Szumska. Zastępcami członków Zarządu zostali: Anna Stengl, Anna Hoszowska-Baron, Barbara Olasińska.

27 LAT U DOMINIKANÓW

23 stycznia bieżącego roku przeżyliśmy w Krakowie pamiętny, choć smutny dzień. Oto wieczorem tego dnia w historycznym (dla nas szczególnie) romańsko-gotyckim Kapitułarzu klasztoru oo. Dominikanów odbyła się pożegnalna msza św., która symbolicznie zakończyła prawie 30 lat spotkań członków krakowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów PW – w tym właśnie zabytkowym wnętrzu. Zebrało się dwadzieścia kilka osób – akuratnie w tych dniach przeżywaliśmy mrozy niepamiętane od kilku lat, co stworzyło problem dla starszych. Mszę św. odprawił Ojciec Przeor Paweł Kozacki, który w pięknych słowach omówił łączność wygnańców z dominikańską wspólnotą w Krakowie, zapoczątkowaną przez Ojca Adama Studzińskiego – rodem z lwowskich stron. Dodajmy, że owe kontakty zaczęły się przed ponad trzema dziesiątkami lat, jeszcze przed zaproszeniem nas do dominikańskiego klasz-

toru, ale również przed powołaniem do życia Towarzystwa. Na zakończenie mszy odmówiliśmy *Wieczne odpoczywanie* dla Ojca Generała Studzińskiego, którego piątą rocznicę śmierci (2008) teraz właśnie obchodzimy.

Podziękowanie Ojcom Dominikanom złożyła p. Zdzisława Stopczyńska, która organizowała (na początku wspólnie z p. S. Wasiuczyńskim) i prowadziła spotkania w Kapitularku. Wyrazy wdzięczności przekazała również głównym wykonawcom programów: Jerzemu Bożykowi, Piotrowi Korpantemu, Jadze Wrońskiej. Było ich oczywiście wielu...

Po zakończeniu mszy prof. Jerzy Kowalczyk odczytał historię naszych początków

u Dominikanów, najpierw w tzw. Krypcie, potem przez długie lata w Kapitularku. Dobrze się złożyło, że w naszym kwartalniku z 2006 r. (nr 3) zamieściliśmy tę historię, zebraną z zapisków piszącego te słowa, w kalendarzach z lat 1970–80–90., a także szeregu innych wspomnień z lat następnych.

Od tamtych czasów bardzo starannie – jak zapewne Czytelnicy zauważają – notujemy wydarzenia mniej lub bardziej ważne, jak choćby utratę drugiego, wieloletniego miejsca spotkań – w Klubie „Zaułek”. Co nas jeszcze czeka?

Andrzej Chlipalski

Odznaczenia dla Ludzi Godnych

Jak Czytelnicy zapewne pamiętają, wystąpiliśmy w 2011 r. do Kapituły Orderu POLONIA MATER NOSTRA EST w Warszawie z wnioskiem o uhonorowanie wymienionym orderem dwóch znakomitych Polaków działających na terenie Krakowa. Są to:

Konrad Firlej, prezes Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Krakowie oraz Rady Odrodzenia TG „Sokół” w Polsce,

Mariusz Graniczka, dyrektor Gimnazjum nr 1 im. S. Konarskiego w Krakowie.

Kapituła rozpatrzyła życiorysy i zasługi obu proponowanych przez nas Osób i wyraziła zgodę na ich odznaczenie. Dekoracje te miały miejsce w ubiegłym roku przy okazji Świąt Państwowych: Konrada Firleja w maju, Mariusza Graniczki w listopadzie. Z naszej strony składamy gratulacje obu Panom, a Kapitulie Orderu podziękowanie za uwzględnienie naszego wniosku.

Poniżej przedstawiamy teksty *laudacji* obu Odznaczonych, odczytane w czasie uroczystości (w Galerii Porczyńskich w Warszawie).

KONRAD FIRLEJ. Prezes Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Krakowie oraz Rady Odrodzenia TG „Sokół” w Polsce. Jego dziełem jest nie tylko reaktywowanie w 1989 roku zdelegalizowanego przez Urząd Bezpieczeństwa tego patriotycznego Towarzystwa, ale ustawiczne i skuteczne propagowanie przez ponad dwadzieścia lat, głównie wśród młodych członków „Sokoła”, wartości, które legły u podstaw powstania TG „Sokół” w warunkach zaborów i były kultywowane w II Rzeczypospolitej. Są to, jak powszechnie wiadomo, wartości nie tylko fizyczne, lecz moralne i patriotyczne. Obecnie znajduje to wyraz w deklaracji ideowo-programowej i ślubowaniu, jakie składają i przyjmują młodzi druhowie wstępując do tej organizacji.

Na przestrzeni wspomnianych lat Konrad Firlej był jednym z głównych inspiratorów i or-

MARIUSZ GRANICZKA. Od 1992 r. dyrektor Gimnazjum nr 1 im. S. Konarskiego w Krakowie.

Zaangażowany aktywnie w problematykę patriotycznej edukacji młodzieży, nie tylko w kierowanej przez siebie szkole. Szczegółne tematy, jakie stara się młodzieży przekazać, to polskie dziedzictwo historii i kultury oraz wybitni Polacy z dawnych Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej.

Realizując te założenia organizuje od 2000 r. wycieczki dla Gimnazjum nr 1 na tamte Ziemie (obecnie Ukraina, Białoruś, Litwa) – corocznie wyjeżdża około 100 uczniów, w wielu wypadkach z rodzicami i dziadkami. Wraz z wjazdami organizowana jest pomoc materialna – książki i materiały szkolne, odzież, środki czystości.

Zarazem organizuje przyjazdy do Krakowa uczniów z Krzemieńca, Gródka Po-



ganizatorem odtworzenia Sokolstwa w Polsce, zwłaszcza w regionach południowych i południowo-wschodnich. Dzięki Jego zaangażowaniu i profesjonalnej pomocy prawniczej (adwokat) i pracy w charakterze nauczyciela akademickiego „Sokół” odzyskał częściowo swoje sokołnie w Brzesku, Gorlicach, Łańcucie, Mielcu, Zakopanem i w Krakowie.

Gmach krakowskiego „Sokoła” gromadzi codziennie dziesiątki dzieci, młodzieży, dorosłych i ludzi starszych na zajęciach rekreacyjno-gimnastycznych, sportowych, a także na najróżniejszych imprezach łączących elementy wychowawcze, patriotyczne i duchowe. W zakresie sportu wyczynowego dziewczęta krakowskiego „Sokoła”, występując w reprezentacji Polski, zdobyły w akrobatyce srebrny (2009) i brązowy (2009) medal na Mistrzostwach Europy.

Kierowane przez Konrada Firleja Towarzystwo utrzymuje żywe kontakty z polskim sokolstwem za granicą: w Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Francji, na Litwie i Ukrainie (wspomaga je także finansowo i organizacyjnie) oraz z bratnimi Towarzystwami w Czechach, Słowacji, Serbii, Chorwacji. Umacnia sokołe więzi przez organizowanie lub udział polskiego sokolstwa w ogólnosiwiatowych i krajowych zlotach oraz sportowych imprezach, jak np. Sztafeta Przyjaźni (biegaczy i kolarzy) ze Lwowa, przez Kraków i Racibórz do czeskiej Opawy.

Towarzystwo systematycznie organizuje konferencje naukowe i prowadzi wydawnictwo „Przeglądu Sokolego”. W siedzibie krakowskiego „Sokoła” gromadzone są także, z inicjatywy Druha Konrada Firleja, sokołe sztandary i inne unikalne pamiątki tej patriotycznej organizacji.

Za pracę w charakterze nauczyciela akademickiego Konrad Firlej został odznaczony „Medalem Komisji Edukacji Narodowej”, a kierowany przez Niego krakowski „Sokół” Medalem „Cracoviae Merenti”.

dolskiego, Brodów i in. Do tej pory goszczono w Gimnazjum nr 1 na tygodniowych pobytach edukacyjno-turystycznych ok. 150 osób (zakwaterowanych w domach rodziców uczniów krakowskich).

Co szczególnie istotne: w 2000 r. zaproponował i doprowadził do uchwalenia przez Radę Miasta Krakowa programu *Poznanie dawnych Kresów Wschodnich przez krakowskich gimnazjalistów*. Przez dwa lata wyjechało już ok. 1200 uczniów. Równocześnie zaproponował program *Edukacja patriotyczna dla uczniów Krakowa*, którego celem jest kształtowanie postaw patriotycznych, włączenie krakowskich szkół do praktykowania pamięci o przeszłości, budowanie poczucia wspólnoty oraz szacunku dla przeszłych pokoleń. Program ten został uchwalony przez Radę M. Krakowa w 2010 r.

Ponadto:

- w 2005 r. dla uczniów i rodziców zorganizował w Gimnazjum nr 1 sesję historyczno-naukową w XXV rocznicę powstania Solidarności (połączoną z wystawą);
- doprowadził w 2005 r. do realizacji w teatrze przedstawienia poświęconego historii Lwowa. Impreza ta zbiegła się z otwarciem Cmentarza Obrońców Lwowa;
- w 2007 r. był współorganizatorem sesji historyczno-naukowej poświęconej prasie podziemnej wydawanej w okresie stanu wojennego (była to realizacja programu MEN *Wychowanie patriotyczne młodzieży 2007*);
- w 2008 r. w Urzędzie Wojewódzkim, w 90. rocznicę zakończenia walk polsko-ukraińskich o Lwów, zorganizował wystawę fotograficzną, połączoną z sesją popularno-naukową dla uczniów szkół Krakowa;
- organizuje dla młodzieży spotkania z rodakami, którzy swoje życie w dużej mierze poświęcali Ojczyźnie – zesłańcami Sybiru, żołnierzami AK, WiN;



- uczniowie Gimnazjum nr 1 objęli opieką tablicę Związku Sybiraków na placu o. Adama Studzińskiego przy Krzyżu Pamięci Narodowej;
- pod koniec października każdego roku uczniowie Gimnazjum nr 1 wyjeżdżają do Lwowa w celu porządkowania grobów na cmentarzach Łyczakowskim i Janowskim;
- po Katastrofie Smoleńskiej od 18 kwietnia 2010 r. uczniowie z Gimnazjum nr 1 i ich rodzice pełnili przez 10 dni i nocy wartę honorową pod Krzyżem Pamięci Narodowej pod Wawelem.

Notatki

Z żałobnej karty

Odszedł profesor, narciarz i pisarz

Z początkiem października br. w wieku 96 lat zmarł **Władysław Stefan Lenkiewicz**, emerytowany profesor krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, a zarazem pisarz i poeta oraz turysta i narciarz. Urodził się we Lwowie, był synem znanego fotografa lwowskiego i pioniera turystyki górskiej w Karpatach Wschodnich, Adama Lenkiewicza.

Swoje umiłowanie gór Władysław Stefan przeżywał od najmłodszych lat, świetnie znał Czarnohorę, Gorgany, wschodnie Bieszczady i tamtejsze szlaki narciarskie. Po przymusowym opuszczeniu Lwowa osiadł w Krakowie, tu podsumował studia mechaniczne zakończone na Politechnice Lwowskiej. Związał się z AGH, przechodząc wszystkie szczeble kariery zawodowej i naukowej.

Nadal interesowały Go góry – teraz Tatry, Beskidy – oraz pisanie. Wydał kilka książeczek – ostatnią z nich, zatytułowaną *Świat pod powiekami*, otrzymaliśmy od Rodziny po Jego pogrzebie na cmentarzu Podgórskim w Krakowie.

Z Profesorem przed laty przeprowadziliśmy rozmowę, przedstawioną w CL 3/97, a w numerze 1/99 drukowaliśmy jego oryginalne utwory – *Gór-haiku* – wzorowane w formie na japońskich *hai-ku*.

Stanisław Czerkas

Zmarł **Stanisław Czerkas**, znakomity działacz społeczności polskiej we Lwowie, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej w latach 1991–98 (2 kadencje). Dał się poznać jako wielki patriota, znakomity działacz na rzecz polskości miasta swego urodzenia

i ojczystej Ziemi. Grał w Teatrze Polskim we Lwowie.

Urodził się we Lwowie w 1934 r. W latach powojennych pracował w Zakładach Elektroniki Medycznej we Lwowie. Pod koniec lat 90. przeniósł się do Kluczborka na Śląsku. Często bywał we Lwowie, jednak ciężka choroba w minionym roku spowodowała wielkie cierpienia i śmierć z początkiem grudnia 2012 r. Cześć Jego pamięci!

Odeszła świetna malarka

Z końcem stycznia w Krakowie nieoczekiwanie zmarła **Wanda Macedońska-Zalewska** wybitna malarka, absolwentka krakowskiej ASP.

Urodziła się we Lwowie (w rodzinie złoczowskiej). Jej bratem jest Adam Macedoński, znany plastyk i działacz niepodległościowy, jej mężem profesor ASP i konserwator Władysław Zalewski, potomek słynnej rodziny cukierników lwowskich.

O twórczości rodzeństwa Macedońskich nakręcono film.

Marek Eminowicz

W styczniu ubył spośród nas Marek Eminowicz (1933 Kraków– 2013 Kraków), historyk, nauczyciel krakowskich szkół średnich*, pasjonat i popularyzator historii, miłośnik turystyki i zabytków, organizator wycieczek dla młodzieży, przy tym działacz antykomunistyczny, więzień UB.

Pochodził z rodziny Ormian, osiadłych od XVII w. na naszych Ziemiach południowo-wschodnich, był członkiem władz Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego.

W ostatnich latach organizował, wraz z gronem kilku kolegów zainteresowanych historią i polską spuścizną na Wschodzie, wycieczki na ziemie ukraińskie. Jednym z nich był Przyjaciel naszego środowiska, ks. Józef Pyrek, którego – jako uczestnika ostatniej wyprawy we wschodnie strony – uprosiliśmy o wspomnienie o Marku Eminowiczu. Przedstawimy je w następnym numerze CL.

Z TAMTEJ STRONY

W ŻYDACZOWIE JUBILEUSZ

28 października najstarsza w Archidiecezji Lwowskiej, już ponad 700 lat licząca (erygowana w 1301 r.), parafia w Żydaczowie obchodziła kolejny jubileusz – 400 lat istnienia kościoła.

Żydaczów leży nad rzeką Stryj, w malowniczej dolinie Dniestru, przy bocznej linii kolejowej Chodorów – Stryj. Przed wojną był siedzibą powiatu, liczył około 4200 mieszkańców. Miasto to założyli podobno osadnicy wołoscy (nazwa miasta pochodzi od *żudeczu*, to po rumuńsku znaczy prawo), a prawa miejskie (przywileje magdeburskie) otrzymało w XIV w. od króla Kazimierza Wielkiego. W tymże czasie wybudowano zamek obronny, odrestaurowany w 1767 przez Michała Rzewuskiego, a zburzony przez Austriaków po I rozbiorze. Za zasługi w walkach z Turkami w 1676 r. Żydaczów otrzymał herb: *dwa złote lwy na błękitnym polu*.

Obecny kościół zbudowano w 1612 r. i w tym samym roku konsekrowano główny ołtarz z pięknym obrazem Matki Boskiej Różańcowej. To w żydaczowskim kościele Jan III Sobieski dziękował za zwycięstwo nad Turkami pod Żurawnem w 1676 r. (podanie głosi, że służył do mszy św.). W latach 1876–1877 w parafii żydaczowskiej pracował bł. Ks. Zygmunt Gorazdowski.

A potem...

W 1945 r. większość Polaków wraz z proboszczem ekspatriowano. Pozostających nielicznych wiernych obsługiwali księża dojeżdżający, głównie ze Stryja. W 1963 r. zabrano kościół, był w nim magazyn mebli, potem stacja autobusowa z barem, w końcu muzeum krajoznawcze.

Wierni odzyskali kościół w 1989 r. dzięki staraniom parafian i ks. Augustyna Mednisa i już 4 września tego roku uroczystie rekonsekrował go ks. kardynał Marian Jaworski,

oddając pod opiekę proboszczowi ze Stryja, ks. Janowi Niklowi. Była to pierwsza w okolicy zwrócona katolikom świątynia.

Pierwszy po wojnie proboszcz ks. Tadeusz Krzyżak (mianowany w 1992 r., początkowo dojeżdżał ze Stryja) i jego następca ks. Dariusz Firszt doprowadzili do odnowienia kościoła (nieoceniona pomoc Energopolu, a także finansowa pomoc parafii z Polski, m.in. rodzinnych parafii pracujących tu księży), wzniesienia dzwonnicy i wybudowania pięknej plebanii, która służy jako dom parafialny. Obejmowali oni opieką duszpasterską również parafie w Brzozdowcach i w Żurawnie. Pod egidą kolejnych proboszczów – księży Rafała Brzuchańskiego, Włodzimierza Strogosza, Marka Cichorza,



Msza św. w Żydaczowie



Mszę celebrował abp. Mokrzycki



Żydaczowska wspólnota



Michała Goniaka oraz dziś pasterzującego ks. Tomasza Labusa – obie parafie, w Żydaczowie i Żurawnie, rozwijają duszpasterstwo, katechizację i różne zajęcia dla dzieci. A kościół piękny!

Uroczystościom jubileuszowym przewodniczył ekscelencja Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, a uczestniczyło kilkunastu księży – dawni proboszczowie miejsca oraz dzisiejsi z okolicznych parafii, a także miejscowi księża grekokatolicy. Liturgię uświetnił śpiew scholi – młodzieży z Żydaczowa. Kościół był pełny.

Politurgiczne spotkanie księży i parafian zaangażowanych w życie kościoła było okazją do rozmów i wspomnień.

Większość informacji historycznych zaczerpnęłam z książeczki „700 lat parafii w Żydaczowie, 1301–2001” pod redakcją Czesławy Rożańskiej.

Barbara Czartoryska

Zdjęcia Wojciech Rostworowski

KULTURA NAUKA

KONFERENCJA W MUZEUM ARMII KRAJOWEJ

5 listopada 2012 w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie odbyła się konferencja inauguracyjna projektu edukacyjnego: *Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku. Dramatyczne losy Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1943–1944**. Konferencję otworzył Małopolski Kurator Oświaty Aleksander Palczewski, natomiast jej prowadzenie przejął dr Maciej Korkuć z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie.

Założenia przedstawionego projektu omówił dr Paweł Naleźniak, a następnie zostały wygłoszone referaty:

- *Wołyń i Małopolska Wschodnia – utracone dziedzictwo Rzeczypospolitej* (dr Grzegorz Chajko, Uniwersytet Papieski im. Jana Pawła II w Krakowie);
- *Preludium zbrodni – ideologia ukraińskich nacjonalistów w czasie II wojny*

światowej (prof. dr hab. ks. Józef Marecki, Uniwersytet Papieski im. Jana Pawła II w Krakowie);

- *Ukraińskie ludobójstwo na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1943–1944* (Ewa Siemaszko, Kustosz Pamięci Narodowej).

Prócz wyżej wymienionych wystąpień miała również miejsce projekcja materiałów filmowych, zaprezentowana przez Macieja Wojciechowskiego ze „Stanicy Kresowej”, a także swe relacje – co niezwykle cenne – przedstawili świadkowie ludobójstwa na Wołyniu.

Zarówno zaprezentowane materiały, jak i przebieg konferencji świadczyły o bardzo solidnym przygotowaniu tego projektu przez jego twórców do realizacji przez młodzież szkolną (uczniowie szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych).

Z pewną satysfakcją należy dodać, że młodzież licznie uczestniczyła w omawianej konferencji, zatem można mieć nadzieję, że dramat wołyński poznają także młodsze pokolenia i wiedza o tej tragedii nie umrze wraz z nami.

Anna Stengl

* Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich objęło patronat honorowy, a czasopismo „Cracovia-Leopolis” – patronat medialny nad tym projektem.

DOKUMENTY RODZINY JAZŁOWIECKIEJ W ARCHIWUM

Po demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ułani 14 Pułku osiedlili się w różnych krajach i na różnych kontynentach, utrzymując jednak stałe związki koleżeńskie z środowiskiem Pułku. W Londynie stworzyli – jedyny taki – Dom Pułkowy, wydawano przez kilkanaście lat biuletyn „Koła Ułanów Jazłowieckich”, opublikowano zbiorowe, monograficzne opracowanie pt. „Dzieje Ułanów Jazłowieckich” (Londyn, 1988), ufundowali liczne pomniki i tablice pamiątkowe, głównie w Polsce (w Puszczy Kampinoskiej, pod stałą opieką leśników z KPN, na jej skraju jest też alejka Ułanów Jazłowieckich, w Kiełpinie k. Łomianek, szereg tablic w kościołach warszawskich, jak też w Londynie i Wrocławiu). Przekazano do Muzeum Wojska Polskiego kopię sztandaru Pułku (wykonaną w latach 1930. i przemycaną wcześniej, jak i oryginał – znajdujący się dziś w Muzeum Sikorskiego – do Anglii). Przekazano też po staraniach tradycje 14 Pułku – trwające do dziś w „utożsamionym” obecnie decyzją śp. ministra Szczygły oraz Kapituły Orderu VM, za zgodą żyjących ułanów, Batalionie Czołgów, obecnie zmotoryzowanym ze Stargardu Szczecińskiego.

Działalność Kół Pułkowych, wrocławskiego, warszawskiego i londyńskiego, rozwiązanych na skutek wieku oraz śmierci ich członków, kontynuuje nasze Stowarzyszenie – Rodzina 14 Pułku UJ, licząca około 140 członków, w tym 10 (niedawno 11) ułanów z 1939 roku i lwowskiej AK, ich żony, dzieci, wnuki (nawet prawnuki!), historyków wojskowości i dawnych harcerzy z drużyn im 14 p. UJ. Zostało ono utworzone przez śp. majora Eugeniusza Iwanowskiego w 1995 roku, oficjalnie zarejestrowane 10 lat później.

Wydajemy biuletyn „Ułana Jazłowieckiego” (31 tomów, pod red. hm. P. Rozdźwieńskiego, obecnie płka Marka Dragana, z broszurowymi opracowaniami p. red. A. Kasprzyckiej-Wierzbieckiej), kilka książek, posiadamy stronę internetową, inicjowaliśmy

budowę dwu pomników i tablice pamiątkowe. Rodzina nasza odznaczona została medalem „Pro Memoria”. Co dla nas najważniejsze, otrzymywaliśmy słowa uznania od środowisk kombatanckich oraz od weteranów Pułku i rodzin Ułanów. Utrzymujemy stałe, tradycyjne dla Pułku związki ze Zgromadzeniem Sióstr Niepokalanek i wspólnym Batalionem Ułanów Jazłowieckich ze Stargardu Szczecińskiego. Z naszą Rodziną współpracują stowarzyszenia noszące barwy i imię 14 Pułku, uzyskane na podstawie zgody dowódcy Batalionu Ułanów Jazłowieckich oraz opinii naszej Rodziny Pułkowej, według specjalnego regulaminu, a także z szeregiem środowisk i stowarzyszeń kawalerskich.

28 maja 2012 r. odbyło się w siedzibie Archiwum Akt Nowych w Warszawie uroczyste przekazanie zbiorów dokumentów archiwalnych, dotyczących 14 Pułku Ułanów (lecz również innych jednostek Wojska Polskiego II RP), Kół Pułkowych, działających po II wojnie światowej w Polsce i w Londynie i Stowarzyszenia „Rodzina 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich”. Zbiór akt dotyczy szczególnie historii Pułku i związanych z nim środowisk kombatanckich oraz kontynuujących tradycje pułkowe, zawiera też cenne relacje uczestników kolejnych kampanii wojennych i życia Pułku oraz dokumentujące ważne wydarzenia z jego historii i opisujące postacie jego żołnierzy. Ponadto działalność Kół Pułkowych, Rodziny Jazłowieckiej oraz grup harcerskich i rekonstrukcyjnych i in., dane do biografii żołnierzy Pułku i członków powyższych organizacji, liczne publikacje, fotografie, a także pamiątki. Jak podkreślił w przemówieniu Dyrektor Archiwum, zostały one uznane przez pracowników Archiwum, historyków, jako cenne i warte zachowania oraz udostępniania zainteresowanym historykom wojskowości. Omawiający zbiór Prezes Rodziny Jazłowieckiej i pracownik Archiwum podkreślili wartość tego zbioru, liczącego ponad sto teczek, uporządkowanych i opisanych przez członków Rodziny Jazłowieckiej. Część dotyczy też kontaktów Pułku ze Zgromadzeniem Sióstr Niepokalanek, kontynuowanych przez Rodzinę Jazłowiecką, Batalionem im. 14 Pułku (obecnie: Batalionem Ułanów Jazłowieckich), kołami kombatanckimi kawalerii i wieloma instytucjami wojskowymi i cywilnymi.

W uroczystości, na zaproszenie Dyrekcji Archiwum Akt Nowych, wzięli udział członkowie Rodziny Jazłowieckiej trzech pokoleń, przedstawiciele środowisk kombatanckich – głównie kawaleryjskich, kół wojskowych, historycy wojskowości i archiwiści. Niestety nie dojechał Prezes Środowiska Lwowskiej Armii Krajowej, P.A. Gajda, który ze względu na stan zdrowia musiał przerwać podróż! Obecne były: przedstawicielka Zgromadzenia Niepokalańskiego siostra Maria Mirosława, senator p. dr Ligia Grabowska i dyrektor Kampinoskiego Parku Narodowego p. Jerzy Misiak. Odegrany został *Marsz 14 Pułku*, odczytane fragmenty wspomnień Ułanów Jazłowieckich (p. A. Nowarski) oraz zaprezentowane umundurowanie Ułana Jazłowieckiego oraz proporzec dowódcy Pułku (p. M. Babulewicz). Pracownicy Archiwum przygotowali na tę okazję niewielką, ale ciekawą wystawę małej części przekazanych zbiorów, a p. Krzysztof Kunachowicz przedstawił książkę – wspomnienia swego ojca, dowódcy 14 Pułku, płka A. Kunachowicza. Na zakończenie spontanicznie odśpiewana została pieśń – *Modlitwa Ułana Jazłowieckiego*.

Przekazywane tak uroczyście akta, po otrzymaniu ich z rozwiązywanych Kół Pułkowych, przechowywane były w archiwum Rodziny Jazłowieckiej. Część zawiera przekazane nam dokumenty z historii Pułku, działalności kół pułkowych i naszej Rodziny, ale również relacje i listy, nieraz bardzo osobiste. Stąd prośba do osób z nich korzystających, szczególnie autorów publikacji, o wielki szacunek dla tych dokumentów, wręcz dyskrekcję, unikanie elementów sensacji, bo to jeszcze świeża historia! Ich przekazanie jest wspólną decyzją naszych członków, podjętą na zebraniu Rodziny. Decyzją dla nas ważną, bowiem dotyczącą żyjących czy niedawno zmarłych żołnierzy Pułku, ich kolegów, trudnych nieraz losów wielu z nich, wojennych i powojennych, w tym – naszych Ojców, Braci i członków rodzin.

Naszym zdaniem, najcenniejsze w tym zbiorze są relacje oraz autentyczne, tuż-powojenne opracowania Ułanów Jazłowieckich, materiały do biografii żołnierzy Pułku a także materiały dokumentujące działalność Kół Pułkowych (i naszej Rodziny Pułkowej),

dokończenie na s. 60

Danuta Nespiak

UPAMIĘTNINIENIA LWOWSKIE WE WROCŁAWIU

– w blasku i cieniu

16 listopada 2012 wrocławskiemu Gimnazjum nr XV nadano imię „Profesorów Lwowskich” – tylko tyle i aż tyle, jeżeli chodzi o wymiar edukacyjny i polityczny tego faktu.

Lwów i Wrocław to miasta partnerskie (Kraków zresztą też), ale Lwów dla powojennego Wrocławia jest (był?) miastem wyjątkowym. Wśród osiedlających się w nim Polaków ci ze Lwowa i Małopolski Wschodniej stanowili ok. 20%. O ich znaczeniu i roli nie decydowała ilość, lecz jakość. Mieli wyraźny kod kulturowy, patriotyzm i duży odsetek inteligencji i ta grupa ekspatriantów wywarła największy wpływ na kształt polskiego wizerunku Wrocławia.

Lwowiaci przyjeżdżali na ogół w zorganizowanych transportach, podkreślali swoje pochodzenie i koloryt obyczajowy, zaznaczając – wymuszoną decyzjami politycznymi – swoją obecność w zrujnowanym Wrocławiu w sposób *semantyczny*. Powstawały więc restauracje i bary lwowskie, jak np. słynny Fonio przy ul. Szewskiej, a obok mistrzów kuchni byli też lwowscy fryzjerzy. Część tych znaków już znikła z przerwaniem żywotem największej gazety lokalnej „Słowa Polskiego”, która świadomie nawiązywała do nazwy przedwojennego dziennika lwowskiego. Zniknęła bez śladu biblioteka *Polska książka na Śląsk* założona przez lwowianina Sergiusza Kazanowicza przy pl. Solnym, z której w 1946 r. korzystali tak chętnie studenci Uniwersytetu, a jej resztki zlikwidowano w latach 90. za prezydenta miasta, którym był obecny minister kultury i dziedzictwa narodowego B. Zdrojewski.

Znacznie więcej satysfakcji przynosi dziedzina kultury i nauki – do dzisiejszego dnia wrocławskie uczelnie i towarzystwa naukowe, przy stosownych ku temu okazjach, odwołują się do tradycji Lwowa, z której wywodzili się lwowscy profesorowie i asystenci, budujący od podstaw akademickie i kulturalne instytucje Wrocławia. Cudów

nie ma – Wrocław to nie Lwów, ale warto tu przypomnieć słowa Anglika prof. Gastona Asha: *Polskie miasto Lwów przeniosło się do niemieckiego Breslau, przekształcając je we Wrocław.*

Gimnazjum nr XV we Wrocławiu długie lata nie miało swego patrona. Natomiast miały lwowskich patronów: Gimnazjum nr I im. prof. Hugona Steinhausa i nr XX im. prof. Alfreda Jahna, więc po wielu dyskusjach wśród grona nauczycielskiego, młodzieży szkolnej i rodziców uznano, że gimnazjum nr XV przyjmie imię Profesorów Lwowskich. Decyzja miała swoje historyczne przesłanie, gdyż w 1946 roku w budynku gimnazjum, gdzie wówczas mieściło się III Liceum Ogólnokształcące, uczyli absolwenci Uniwersytetu Jana Kazimierza i Państwowego Seminarium Nauczycielskiego we Lwowie: polonista Kalikst Szymonowicz, historyk Mieczysław Kalitryński, matematyk Emil Stefanowicz i biolog Józef Chruściel.

Uroczystość nadania imienia Gimnazjum nr XV zgromadziła osoby z najwyższej półki akademickiego środowiska Wrocławia: rektorów 3 uniwersytetów, Politechniki, dyrektora wrocławskiego Oddziału IPN, przedstawicieli kuratorium, władz samorządowych, organizacji pozarządowych, a także gości z krakowskiej fundacji im. prof. Kazimierza Bartla. Obecny był także dr Jan Longchamps de Berier, jedyny przedstawiciel tej znakomitej rodziny, który nie podzielił losu ojca i trzech braci zamordowanych o świcie 4 lipca 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Wśród urzędowych zagranicznych vipów byli rektorzy ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie i uniwersytetu rolniczego w Dublanach.

Oficjalne nadanie wrocławskiemu gimnazjum imienia „Profesorów Lwowskich” poprzedziła dwuletnia praca zespołu nauczycielskiego. Zrealizowano program dydaktyczny zapoznający uczniów z postaciami wybitnych polskich uczonych, z moralnym wymiarem niemieckiej zbrodni i znaczeniem Lwowa jako czołowego ośrodka polskiej nauki w II Rzeczypospolitej. Młodzież zwiedziła w tym celu Lwów, uczestniczyła w ważnym spotkaniu we wrocławskim Ossolineum z Dietmarem Schenkiem, autorem nagrodzonej książki pt. *Noc morderców*, dokumentującej niemiecką zbrodnię na Wzgórzach Wuleckich. W Gimnazjum znalazła swoje

miejsce stała ekspozycja dokumentacyjno-opisowa *Galeria Profesorów Lwowskich* oraz została wydana specjalna, dokumentowana zdjęciami publikacja pt. *Dlaczego ważna i konieczna jest pamięć o Lwowskich Profesorach.*

Oficjalną uroczystość wzbogacił literacko-muzyczny spektakl w wykonaniu młodzieży. W obszernej auli gimnazjum na tle multimedialnych krajobrazów lwowskich, przy muzycznym podkładzie zabrzmiała poezja z Herbertowskiego przesłania Pana Cogito:

...i nie przebaczej, zaiste nie w twojej
mocy
przebacać w imieniu tych, których
zdradzono o świcie.

Interesującym fragmentem tego pięknego spektaklu była też zgrabna scenografia przedstawiająca wnętrze słynnej lwowskiej kawiarni Szkockiej, w której młodociani aktorzy – uczniowie gimnazjum odegrali z powodzeniem rolę profesorów zajętych dyskursem naukowym.

Zespół pedagogów, który był *spiritus movens* całego przedsięwzięcia, to były panie – polonistka mgr Maria Laskowska (koordynator), dr Justyna Gleńsk (muzykolog, katecheta, autorka scenariusza spektaklu), mgr Aleksandra Marciniak (polonistka, współautorka scenariusza, moderator przebiegu uroczystości). Zespół działał przy życzliwym poparciu dyrektorki gimnazjum mgr Cecylii Przewies-Mazurek, pomysłodawczyni imienia dla szkoły, które zwyciężyło w ogólnoszkolnym głosowaniu, eliminując inne propozycje, np. Tadeusza Różewicza.

Na koniec refleksja. Czy ograniczenie imienia gimnazjum do *Profesorów Lwowskich* bez podania ich narodowości oddaje pełną pamięć o tych uczonych należących do elity naukowej II Rzeczypospolitej? Nie oddaje. To absolutnie żadną miarą nie obciąża pedagogów gimnazjum nr XV. Pytanie trzeba skierować gdzieś wyżej, zapewne do Warszawy. Poprawność polityczna ukryła ich narodowość, a przecież zginęli dlatego, że byli polskimi profesorami.

Czy polscy profesorowie akademickich uczelni Lwowa z czasów II Rzeczypospolitej nie mają prawa do pełnej pamięci w III Rzeczypospolitej? Sprawa ukrywania ich narodowości była już poruszana w czerwcu 2004 r. w otwartym Apelu skierowanym do

ówczesnego prezydenta RP A. Kwaśniewskiego, gdzie znalazły się takie słowa: *Pisze się, że zamordowani byli profesorami lwowskimi, unikając przymiotnika polscy, co jest szczególnie bolesne w odniesieniu do tej zbrodni. Dwudziestu pięciu profesorów zostało zamordowanych nad ranem 4 lipca 1941 roku tylko dlatego, że byli Polakami*

i przedstawicielami polskiej nauki we Lwowie (cytat za „Rzeczpospolitą” z 30 VI 2004).

Apel ten podpisały między innymi takie osobistości jak ks. kardynał Franciszek Macharski, metropolita krakowski, prof. Jan Ostrowski, dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, prof. Jacek Purchla, dyrektor Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie.

Tadeusz Krzyżewski

Łacina i greka

Poniższy tekst autorstwa (prawdopodobnie) dr. Tadeusza Krzyżewskiego zaczerpnęliśmy z „Gazety Lwowskiej” sprzed 70 lat (15 sierpnia 1943 r.). Dziś tu wiele spraw nieaktualnych, ale to już historia, którą warto przypomnieć.

Tu i tam, wszędzie gdzie tylko lackie i ruskie plemię ze sobą się sprzęgły, gdzie obok cerkwi kościół wyrasta, na każdym kroku i we wszystkich przejawach życia pełno jest oczywistych przykładów na ich współżycie, którego najlepszym przykładem to te wspomnienia dawniejszej doby, kiedy to *jednego dnia ze szkoły chodziliśmy wszyscy na Oremus, drugiego na przemian na Hospody pomyłuj. [...]*

Bardziej jednak ciekawą formy z dawna pozostałe. Jest np. wieś Pohorce, Rudek niedaleka, Dniestru bliska. Długie lata, bodaj ze dwa stulecia, upływały mieszkańcom tej wsi należącym do obu obrządków – łacińskiego i greckiego – na korzystanie z tego samego domu Bożego, który służył obu narodowościom wieś zamieszkującym i to w ten sposób, że raz odprawiał tam mszę świętą przynależny proboszcz „łaciński”, drugim razem przyjeżdżał znów dotyczący pleban „grecki” – jako że w samych Pohorcach dawniej żadnej parafii nie było. I tak jak w poprzednie dni w miejscinach o mieszanej ludności dzieci na odmiennie chodzili na nabożeństwo raz do kościoła, to znów do cerkwi – tak tu, a także w setkach innych podobnych warunków cała ludność uczestniczyła w takim chwaleniu Boga, jakie się danej niedzieli zdarzyło. To też ową świątynkę jedni nazywali kościołem, drudzy

cerkwią. Dla równowagi cechy jej zewnętrzne (jest to budowla jednonawowa, bezkopułowa) odpowiadały formom zwyczajnym obrządkowi łacińskiemu, wewnątrz raczej liturgii greckiej, choć i tu niejedno miało – i ma po dziś dzień cechy inne. Ołtarzowy barok stał się co prawda właściwością także i cerkwi, ale w Pohorcach widać na tych ołtarzach snycerskie dzieła niewątpliwie należące do prac polskich rzeźbiarzy, a krucyfiks wiszący w ścianie ikonostasu ma wybitnie cechy niebizantyjskie.

Tu też chrzczono dzieci polskie, gdy za daleko było do kościoła – zresztą nie czyniono w tym wielkiej różnicy, gdyż „u siebie” to się odbywało – a już zupełnie „u siebie” czuła się i dzisiejsza właścicielka Pohorzec hrabina z Dzieduszyckich Tarnowska, która w podhoreckiej cerkwi ślubem małżeńskim się wiązała. Dzisiaj w czasie poszukiwań metrykalnych niezbędnych dla uzyskania karty rozpoznawczej owa obojętność, czy chrzcić dziecko w cerkwi czy w kościele jest przyczyną wielu kłopotów, na jakie narażeni są proboszczowie parafii o ośrodkach mieszanym – a te są tutaj aż po Zbrucz wszędzie.

W sąsiednich Pohorcom Czatkowicach, wsi szlacheckiej, szlachta tamtejsza zagrodowa przynależy do obu obrządków, przynajmniej do obu narodowości. I teraz napływają listy z prośbami o szukanie w dawnych księgach urodzeń w urzędach parafialnych przykościelnych i przycerkiewnych.

Wracając do cerkwi – typowymi dla każdej z nich zawsze są obrazy; jest ich wiele, bardzo wiele – ikonostas z nich się składa, a prócz ołtarzowych liczne wiszą po ścianach. Tzw. bizantyzm odróżnia się od tych, jakie spotykamy po kościołach. Lecz i „kościelne” wiszą po cerkwiach, a także w niedalekim stąd Susułowie, gdzie się natrafia na szczególnie przykład tej dla Rusi Czerwonej charakterystycznej symbiozy. Jest tam

niewielki obrazek na drzewie malowany. Malował go obraznik z naddniestrzańskiej Wołoszczy. Temat „łaciński”: św. Walenty, sposób malowania „grecki”; napis zaś polski wskazuje, że to jest „święty Wałęty”. Autor Czajka, w podpisie „Czayka”, kędy indziej podpisuje się alfabetem cyrylicy.

Na krótko przed wojną ludność polska Pohorzec wybudowała tuż w pobliżu cerkiewki piękny kościół. W bezinteresownym wkładzie pracy w to zbożne dzieło jest też udział miejscowej ludności, dla której domem Bożym jest cerkiew.

Jedni i drudzy, gdy w tej cerkwi patrzą na obraz, gdzie grecką literą napisane *Matr Theu* – Matka Boga i gdy na wyjeździe ze wsi żegnają się przed kamiennym krzyżem, gdzie znów łacińskie *Te Deum laudamus* wielbi Pana – jedni i drudzy tak tu od wieków silnie ze sobą związani w jednym się jednoczą. W Krzyżu, który łączy, nie dzieli – krzyż ten „roku świętego” razem stawiali. Stoi on pośrodku wsi, między jasnym światłem murowanego kościoła a od starości szerniałym drewnem wiekowej cerkiewki – i łączy.

DZIEŁO BRUNONA SCHULZA

W krakowskim Muzeum Narodowym otwarto z końcem 2012 r. wystawę cyklu grafik artysty, nazwanych *Xięgą Bałwochwalczą*, powstałych w latach 20. minionego wieku. Około 30 obrazów, składających się na *Xięgę* skompletowano z kilku muzeów krakowskich i warszawskich.

Przedstawione grafiki Schulza, tworzone w technice *cliche-verre*, są świadectwem, jak znakomitym był rysownikiem. Dzieła te zostały określone przez badaczy twórczości artysty jako erotyczne, perwersyjne, niekiedy masochistyczne, de-



moniczne. Przed 80 laty w czasie wystawy w Truskawcu niektóre grafiki Schulza zostały na żądanie pewnego senatora zdjęte jako zbyt nieprzyzwoite.

ERRATA

W CL 1/12 na s. 53 w notatce *Uczczono pamięć Matki i Syna* pomyłono imię Pani Zarugiewiczowej: miała być **Jadwiga**, a nie *Stefania**.

Przy notatce powinno znaleźć się zdjęcie, jednak omyłkowo pominięte. Zamieszczamy je obecnie, przedstawiając osoby: drugi od lewej wnuk Jadwigi Zarugiewiczowej Tomasz Pawelski, gen. Wiesław Górzyński, prezydentowa Anna Komorowska i in.

* Jadwiga Zarugiewiczowa miała dwóch synów: Konstantego, który zginął w Obronie Lwowa, i Wacława, oraz dwie córki: Stefanię zam. Chlipalską i Zofię zam. Pawelską (patrz *Rozmowa* w CL 3–4/1995).



Kronika

◆ We wrześniu ub.r. odbyły się w Poznaniu XV Dni Lwowa i Kresów, zorganizowane przez tamtejszy Oddział TMLiKPW.

Zaczęło się od meczu – po 73 latach zagrały ponownie „Pogoń” Lwów i „Warta” Poznań (z wynikiem 2:2). To piękna tradycja: oba zespoły rozegrały w sumie 31 spotkań, z czego 13 wygrała „Pogoń”, 11 „Warta”, remisów było 7.

Wystąpiły Intygentne Batiary z Bytomią, otwarto wystawę fotografii Lwowa K. Stry-

kiera, a piosenki lwowskie wykonywał Wojciech Habela. W Domu Polonii dr M. Rezier wygłosił odczyt *Z Poznania do Lwowa*, przedstawiając udział Wielkopolan w Obrobie Lwowa w 1918 roku.

Z okazji XV Dni Lwowa wydano pracę *Wielkopolanie dla Kresów Południowo-Wschodnich* z kilkudziesięcioma biogramami wybitnych Wielkopolan, którzy w ciągu kilku wieków działali na rzecz Ziemi Wschodnich.

Z uznaniem przyjęliśmy relację (tu skróconą) o XV Dniach Lwowa w Poznaniu. Gratulujemy! Poznań zawsze górą!

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 W CL 1/09 w dziale *Nowe Książki* omawialiśmy obszerną i ciekawą monografię Roztocza, napisaną przez prof. **Jana Buraczyńskiego** z Uniwersytetu MCS w Lublinie, wydaną w 2008 roku. Niedawno ukazało się nowe wydanie o tym samym tytule: **Roztocze, dzieje osadnictwa** (Lublin 2011), rozszerzone o liczne uściślenia, z całym nowym działem i większą liczbą ilustracji i map.

Pamiętamy, że Roztocze to wąski pas wzgórz, ciągnący się od Kraśnika w Lubelskiem – w kierunku południowo-wschod-

nim aż do Lwowa. Jego najwyższym punktem jest Czarowska Skała koło Lwowa (409 m npm.)*. Obejmuje powierzchniu niewielki obszar: niespełna 3400 km². W ciągu 11 wieków – nie licząc okresu zaborów – należało do Polski, dopiero po II wojnie w XX wieku jego część (ok. 1080 km) została zagarnięta przez okupan-

ta sowieckiego i później przekazana państwu ukraińskiemu; zaś druga część pozostała przy RP. Jednak to, co Polska straciła, to część najwyższa, zalesiona, a najważniejsza – miasto Lwów.

Dział o sześciu rozdziałach, który dodał Autor w drugim wydaniu**, to wyraźnie brakujące w pierwszym wydaniu omówienie problematyki archeologiczno-kulturowej, czyli najdawniejszych dziejów tego obszaru. Roztocze stanowiło we wczesnym średniowieczu słabo zaludnioną, a jednak zaludnioną ziemię. Z czasem pojawiło się tam – jak na całym obszarze górnych biegów Bugu, Sanu i Dniestru, a także kilku innych rzek tamtego obszaru, plemię zachodniosłowiańskie, prapolskie – Lędzianie***. Wiemy to z kilku relacji – najwcześniej od Geografa Bawarskiego z IX wieku.

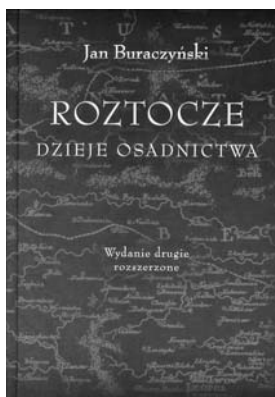
Czytelnikom interesującym się Roztoczem, a nie znającym dotąd pracy prof. Buraczyńskiego, lub zainteresowanym w sposób szczególny dodatkowymi informacjami zawartymi w II wydaniu, książkę tę bardzo polecamy.

* Tak się składa, że w niniejszym numerze CL zamieszczamy tekst literacko-historyczny o Czarowskiej Skale.

** Napisali Jan Gurba i Jerzy Libera.

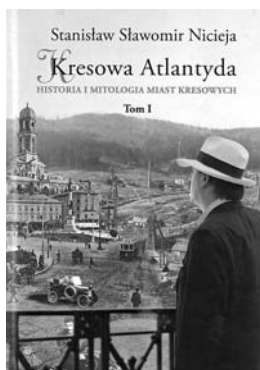
*** Patrz ten sam CL 1/09 – *Naszym zdaniem* na s. 70–71.

📖 Jest już zapowiadana książka prof. **Stanisława S. Niciei**, która wpisuje się do jednej z dwóch serii Jego prac, a mianowicie tej, która na przykładzie historycznych i utraczonych miast przypomina dzieje, kulturę, społeczności i ludzi Małopolski Wschodniej.



Druga seria, jak wiemy, dotyczy naszych historycznych nekropolii, przede wszystkim Cmentarza Łyczakowskiego i Obrońców Lwowa.

Kresowa Atlantyda – to tytuł, ale więcej wyjaśnia podtytuł: *Historia i mitologia miast kresowych*. Ukazał się tom I, za nim przyjdzie kilka następnych. W tym pierwszym tomie czytamy o Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Brzeżanach i Borysławiu. A na ostatniej stronie znajdujemy wykaz kolejnych 25 miast, jednak Autor dopisał literki: *m.in.*, co oznacza, że może ich być jeszcze więcej. I to nie tylko z Małopolski Wschodniej, bo już we wspomnianym wykazie spotykamy Łuck, Pińsk, Krzemieniec. A Kamieniec Podolski?



Autor przytacza słowa Władysława Grabskiego, który wyliczył, że Polska na skutek przesunięcia granic po II wojnie światowej utraciła ok. 200 swoich miast. Chodzi zapewne o te większe, ważniejsze, ale wedle piszącego te słowa w samej Małopolsce Wschodniej można się doliczyć ponad stu miast i miasteczek, i jeszcze kilkudziesięciu ważnych

wsi (typu Sokolnik czy Zabiego). Wszystkie one razem domagałyby się naukowego opracowania monografii historycznych, ale takich powstało dotąd najwyżej 20. Ten *m.in.* argument wysunęliśmy postulując powołanie do życia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Ziem Wschodnich, który podjąłby opracowanie ogromnej problematyki naszego wkładu w historię, kulturę i cywilizację utraconych ziem. Oczywiście również innych tematów.

Omawiana książka (czy seria tych książek) prof. S.S. Nicieja nie ma charakteru pracy ściśle naukowo-badawczej, jest to natomiast barwne i ciekawe, choć skrótowe, opisanie miast, fragmentów ich dziejów i kultury, społeczności i ludzi minionych epok. Książkę ilustruje dużo starych fotografii, widokówek, rycin. Cała seria powinna się znaleźć w każdym ambitnym *kresowym* domu.

📖 Pani **Teresa Siedlar-Kołyško**, krakowska dziennikarka, to osoba, która kil-

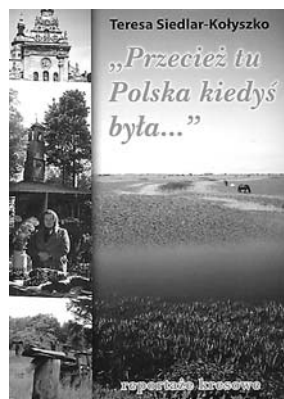
kadziesiąt lat swego życia spędziła w podróży po Ziemiach Wschodnich. Nie, nie po *kresach*, bo to ziemie dalekie, ukraińskie, lecz po dawnych Ziemiach Królewskiej Rzeczypospolitej – tak powiedziała w rozmowie, której nam swego czasu udzieliła (CL 4/2004 – warto jeszcze raz przeczytać!).

Jeździła z plecakiem, różnymi środkami lokomocji – pociągami, autobusami czy marszrutkami, czasami ktoś Ją podwiózł, nocowała u ludzi wcześniej poznanych. A w jakim celu – bo wtedy, przed laty, zdała sobie sprawę z tego, że nazwy Nowogródek, Grodno, Krzemieniec były dla Niej martwymi rzeczownikami, a Lwów czy Wilno znała tylko z ilustracji.

Tak powstały wcześniej grube książki, z teraz piąta, o sugestywnym tytule: **Przecież tu Polska kiedyś była***.

Książka zawiera 31 reportaży o różnych ludziach, z różnych miejscowości, a nawet stron świata. Wszystkie pasjonujące, ale wiadomo co nas interesuje najbardziej. Więc najpierw rozmowa z panią Janiną Zamojską, jeden z najdłuższych tekstów w książce. To nie tylko Jej osobista historia, ale całego Lwowa kilkudziesięciu lat: wydarzeń przedwojennych i z obu okupacji, z długich lat powojennych. O lwowskich Polakach i zmieniających się okupantach, o współmieszkańcach miasta, o księżkach, szkołach, kulturze.

Kolejny wschodniomałopolski tekst to rozmowa z p. Alfredem Szrejerem (Schreyerem), którego znają zapewne odwiedzający dziś Drohobycz. Pan Alfred jest muzykiem, nauczycielem muzyki, organizatorem i kierownikiem wielu chórów, a w czasie wojny (którą szczęśliwie przeżył) i po wojnie był nawet tłumaczem języka niemieckiego. Jednak przede wszystkim p. Szrejer wywodzący się z żydowskiej inteligencji rodzi-ny (ur. 1922) jest wielkim polskim patriotą, miłośnikiem Drohobycza i – Schulza, którego był uczniem w drohobyckim gimnazjum. Udziela się bez reszty w polskim środowisku swego miasta, uczy młodzież śpiewać. Kiedy drohobyccy Polacy odzyskali swój piękny



gotycki kościół, uczył młodzież kolęd przed Bożym Narodzeniem*.

I wreszcie trzeci tekst: o Kałuszu. Na samym początku czytamy o kościele kałuskim – po wybuchu II wojny różne rzeczy się tam działy. Autorka cytuje opowieść pani prezes Polaków z Kałusza: *Początkowo był tam kryminał, potem hurtownia, wreszcie sala sportowa. Po tym wszystkim kościół był zniszczony okropnie. Mimo to zrobiono w nim prawosławną cerkiew i w żaden sposób nie chcieli nam go oddać. Jeździliśmy wiele razy do Kijowa, do samego prezydenta Kuczmy. Byliśmy też w wierchowej radzie, czyli w sejmie... Wreszcie w 2000 roku nam go oddali... To my całą noc pracowali, co sił, żeby wielkanocna msza odbyła się już w kościele...*

A w zakończeniu reportażu czytamy: ... *przeszliśmy do niewielkiej salki, wypełnionej po brzegi książkami, na wieszakach stroje ludowe zespołów. Ciasnota ogromna. – Tak, proszę pani, i to jest nasza sobotnio-niedzielną szkoła! Mamy 92 uczniów. Szkoła funkcjonuje już czternaście lat. W tej salce odbywają się lekcje i próby zespołów, tu jest biblioteka, mamy ponad pięć tysięcy książek, tu też mieści się nasze Towarzystwo. I jeszcze w tej chatce mieszka zupełnie bez wygód, bo nawet wody nie ma, nasza siostra, ona jest lwowianka, Polką i tak się dla nas w tych bardzo trudnych warunkach poświęca, my ją za to bardzo kochamy. Wracając do naszego Towarzystwa, jest w nim 89 osób, na ogół ludzie starsi, którzy zachowali tradycje i silną świadomość narodową, i my ciągniemy młodych. Mamy już absolwentów naszej sobotnio-niedzielną szkoły. Mamy kilka zespołów: „Skowroneczki”, „Biedronka”, „Nadzieja”, „Samarytanka” i „Świętego Walentego” – to już czysto chłopięcy zespół. W salce uczymy języka polskiego, „narodoznawstwa”, czyli wiedzy o narodzie, o Polsce, historii, geografii, mamy też śpiew, śpiewamy polskie piosenki naturalnie. Oprócz tego w Szkole nr 2, ukraińskiej, mamy fakultatywy języka polskiego, język polski jest tam prowadzony jako obcy. Uniwersytet Podkarpacki w Stanisławowie wypuścił już pierwszych absolwentów slawistyki, gdzie jest Katedra Języka Polskiego, oni już mogą uczyć polskiego. Polacy, którzy studiują polonistykę, otrzymują stypendia od rządu polskiego, oczywiście ci, którzy*

mają dobre wyniki. Na przykład w Dolinie jest pani Bryza-Pasieka, absolwentka tego uniwersytetu. Także w Stanisławowie, gdzie jest polska szkoła, uczą nasi polscy poloniści, wypuszczono już pierwszych dziesięciu absolwentów polskiej szkoły. Pierwszych od sześćdziesięciu lat! [...]

Dalsze reportaże to całe zabrane Ziemie i ludzie tych Ziem – bohaterowie współcześni albo potomkowie dawniejszych. I nie tylko Ziemie Wschodnie: dwa teksty traktują o Zaolziu. Kilka reportaży spisała Autorka w Ameryce, z tamtejszymi emigrantami wschodniomałopolskimi.

Padają nazwy z naszych najbliższych Ziem Wschodnich: Lida i Mołodeczno, Grodno, Wołożyn, jezioro Narocz, Brasławszczyzna, Wołyń. I takie, które pozostały po I wojnie za kordonem, a były niemal czysto polskie: Gródek Podolski, Jarmolińce, Bałta.

Są inne jeszcze miejsca w tych wschodnich stronach, na przykład Mołdawia. Do tamtego kierunku namówił Autorkę pan Tadeusz Gaydamowicz, mołdawski Polak-Lwowianin, dziś zamieszkały w Krakowie. Bo w mołdawskiej stolicy, Biełcach, płynie wartko życie polskie i miała Pani Teresa z kim i o czym rozmawiać.

Na koniec perełka: rozmowa z Tatarką, Rosą Dębicką w Opsie, położonej na ziemi zabranej Łotwie. Zostały tam ruiny pałacu Platerów. Tatarzy jeżdżą do meczetu w nieodległych Widzach. Polacy zbierają się w kościele i śpiewają po polsku, ale biskup przykazuje żeby modlić się po białorusku, więc na msze w tym języku nie przychodzą. Język polski odchodzi...

* Podtytuł: *Reportaż Kresowe* (Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny 2012)

** Piszący te słowa widział pana Alfreda, gdy w latach 90. dyrygował chórem w czasie mszy św. w drohobyckiej farze.

📖 Wertując dwa opasłe tomy zbioru dokumentów zatytułowanego **Kościół Katolicki i Polacy w Małopolsce Wschodniej podczas wojny ukraińsko-polskiej 1918–1919**¹ aż trudno uwierzyć, że historycy zajmujący się walkami o Małopolskę Wschodnią dotąd omijali tematykę obu obrządków w wydarzeniach towarzyszących temu konfliktowi. Biorąc pod uwagę,

że w wojnie 1918–19 walczyły dwa blisko spokrewnione ze sobą narody, pomiędzy którymi w wielu wypadkach wyznaczenie granic łatwiejsze było w oparciu o wyznaczenie niż o jakiegokolwiek inne kryterium, oba Kościoły musiały znaleźć się w centrum wydarzeń. W związku z tym źródła wytworzone przez przedstawicieli tych Kościołów siłą rzeczy muszą być kapitalnym materiałem pomocnym w rekonstrukcji nie tylko przebiegu konfliktu, jego skutków, ale także stanu świadomości osób zaangażowanych w te wydarzenia.

Jako jeden z niewielu opracowaniem dokumentów związanych z tą tematyką zajmuje się **ks. prof. Józef Wołczański**, historyk Kościoła z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie², który już w 1997 roku opublikował *Nieznaną korespondencję arcybiskupów metropolitów lwowskich Józefa Bilczewskiego z Andrzejem Szeptyckim w czasie wojny polsko-ukraińskiej 1918–1919*³. Aby w pełni docenić, z jak interesującymi dokumentami mamy tu do czynienia, należy przede wszystkim zdać sobie sprawę z dramatyzmu i paradoksalności sytuacji, w jakiej historia postawiła obu hierarchów. Mając negatywny stosunek do działań zbrojnych, są zarazem przywódcami duchowymi obu walczących stron, co jednak nie znaczy, że mają przesadnie duży wpływ na dowódców. Będąc podlegli papieżowi, są zobowiązani do wzajemnej współpracy, a jednocześnie głęboko identyfikują się z interesami swoich narodów. Darząc siebie nawzajem szacunkiem, a nawet – być może – przyjaźnią, muszą jednak twardo stąpać po ziemi i działać w interesie swoich Kościołów lokalnych. Zapłatanie w historię, jakie było udziałem obu arcybiskupów, w sposób anegdotyczny odzwierciedla fakt, że w czasie oblężenia Lwowa abp Bilczewski znajdował się w strefie zajętej przez Ukraińców, Szeptycki zaś rezydując na wzgórzu św. Jura znajdował się na terenach bronionych przez polskich mieszkańców miasta.

Nie miejsce tu i czas, aby analizować szczegółowo korespondencję obu arcybiskupów, należy jednak wspomnieć, że ta wymiana listów odzwierciedla dramatyzm sytuacji. Obaj szukają z niej wyjścia, które nie zaszkodziłoby ich narodom w czasie, gdy konferencja pokojowa będzie rozstrzygać ostateczny przebieg granic, ale też

wiele czasu poświęcają na załatwianie rzeczy doraźnych, obaj interweniują u siebie nawzajem w interesie wiernych poszkodowanych przez działania wojenne. I tak organizują wymianę młodocianych jeńców, ogłaszają wspólne odezwy do żołnierzy, domagają się wymuszenia na władzach wojskowych obu stron humanitarnego traktowania jeńców, usiłują ubezpieczyć

kościół i klasztory przed grabieżami, wstępują u władz wojskowych o uwolnienie internowanych duchownych, publikują wspólne odezwy. Powstrzymam się jednak od rozstrzygania, czy w przypadku obu arcybiskupów mamy do czynienia z tą samą dozą szczerości i dobrej woli, a także lojalnością wobec siebie nawzajem. Wszystkich zainteresowanych postaciami tych dwóch wybitnych hierarchów odsyłam do ich korespondencji, aby sami wyrobili sobie opinię.

Po 15 latach od wydania *Nieznanej korespondencji* ks. Józef Wołczański oddaje do rąk czytelników kolejny zbiór źródeł i materiałów archiwalnych związanych z dziejami Kościoła w czasie wojny ukraińsko-polskiej. Dwa tomy – w sumie prawie dwa tysiące stron – *Kościół Katolicki i Polaków w Małopolsce Wschodniej podczas wojny ukraińsko-polskiej 1918–1919* mieszczą w sobie dokumenty pochodzące z archiwum kurii lwowskiej (włączonego dziś do archiwum Kurii Metropolitalnej Obrz. Łacińskiego w Krakowie), kroniki zakonne, a także relacje duchownych z kilkudziesięciu parafii dotkniętych działaniami wojennymi. Swoją kwerendę ks. Wołczański prowadził także w Archiwum Watykańskim i trzech archiwach znajdujących się na terytorium ukraińskim, zamieszczając wiele ciekawych dokumentów uzupełniających niejako krajowe zbiory.

Na edycję składa się 300 tekstów źródłowych, podzielonych na trzy grupy. Pierwsza zawiera korespondencję, odezwy, przemówienia i rozporządzenia



urzędowe; druga – relacje i sprawozdania; natomiast trzecia, najobszerniejsza, bo obejmująca cały tom drugi – kroniki i dzienniki. Tu należy uprzedzić przyszłych czytelników, którzy nie są zawodowymi historykami, że podział taki nie ułatwia życia amatorom, chcącym *Kościół Katolicki i Polaków...* czytać do poduszki. Edycja źródeł kieruje się bowiem innymi racjami niż wygoda czytelnika.

Wybór dokumentów poprzedzony jest wprowadzeniem, w którym autor odtworzył tło historyczne uwzględniające wszystkie wątki pomocne w odniesieniu czytanych dokumentów do konkretnych wydarzeń. A że rozmaitych wątków, wydarzeń i postaci jest tu olbrzymia liczba, więc i wprowadzenie jest obszernie – liczy niemal 70 stron.

Najciekawszym dla czytelnika niebędącego zawodowym historykiem, a zarazem najobszerniejszym dokumentem, jaki znalazł się w zbiorze, jest dziennik abpa Bilczewskiego obejmujący okres od 1 XI 1918 r., czyli dnia, w którym Ukraińcy opanowali Lwów, aż do 7 IX 1919 r., kiedy miasto jest już bezpieczne⁴. Dziennik obfituje w szczegóły, wszak arcybiskup był znany ze swej fenomenalnej pamięci. Styl jest suchy i rzeczowy, liczne skróty świadczą o tym, że wpisy były często dokonywane w pośpiechu, ale za to nieraz kilkakrotnie w ciągu dnia, np.: *3/1. Ciężkie walki w nocy, kanonada z Cytad[eli]. Rano o g[odz]. 6 pokazało się światło elektryczne. Cisza zupełna. Dzień pogodny. Godz[in]a 10¼ przed połud[niem]. Aeroplan nieprzyj[acielski] rzuca bomby na miasto. Wybuchy silne. Ostrzeliwanie z naszej strony widocznie mu nie szkodzi. Adiutant Rozwadowskiego przyniósł list od generała i kopię pisma, które jutro pojawi się w dziennikach.*

Od czasu do czasu arcybiskup znajduje jednak czas, aby zapisać swoje refleksje czy uwagi, bądź też krótkie charakterystyk osób, z którymi się styka. Dzięki tym uwagom możemy odtworzyć sobie świadomość metropolity i osób znajdujących się w jego otoczeniu, a także zrozumieć motywacje, jakie rządziły ich postępowaniem. Z kolei charakterystyki bywają ciekawe ze względu na format postaci, z jakimi metropolita się spotykał: *[Paderewski] człowiek nasz opatrnościowy [...] Mówią w Warsz[awie]: nie może się pozbyć przyzwyczajenia z czasów swoich występów muzycznych. Przyzwyczał się wtedy kłaniać na lewo i prawo,*

bo występ musiał się zawsze kończyć wręceniem mu bukietów. Tak i teraz zbytnio kłania się na wszystkie strony.

Dziennik jest przede wszystkim zapisem niezwyklej aktywności księdza Arcybiskupa. Obok obowiązków związanych z piastowaną funkcją Bilczewski bierze udział w wypracowywaniu różnego rodzaju inicjatyw pokojowych, jest zaangażowany w redagowanie odezów i odpowiedzi, odbywa setki spotkań z politykami, działaczami społecznymi i członkami duchowieństwa. Do niego pierwsze swe kroki kierują przedstawiciele zagranicznych misji pokojowych, a także politycy polscy przybywający do Lwowa. Nawet marszałek Piłsudski, będąc tu przejazdem, gdy nie może złożyć wizyty zaraz po przybyciu do miasta, usprawiedliwia się za pośrednictwem swojego adiutanta i obiecuje, że złoży wizytę w pałacu arcybiskupim zaraz po powrocie z linii frontu. Z racji licznych kontaktów metropolita jest wreszcie świetnie poinformowany o tym, co się dzieje w mieście, a także poza nim, tak że musi sam siebie cenzurować, pisząc dziennik, z obawy, aby nie wpadł on w niepowołane ręce.

Dzięki dziennikowi można wreszcie poznać gorący patriotyzm arcybiskupa. Bilczewskiemu spędza z sen z oczu nie tylko kwestia przyszłości Galicji Wschodniej, reaguje żywo na wszelkie wiadomości z innych ziem polskich, po które rękę wyciągają obce siły – Śląska Cieszyńskiego, Wielkopolski itd. Arcybiskup także bacznie śledzi i przeżywa wieści dochodzące z dalekiej Warszawy, gdzie właśnie zostaje ogłoszona niepodległość, powstają i upadają pierwsze gabinety, przeprowadzone zostają pierwsze wybory do Sejmu; nie tai on swoich sympatii i antypatii politycznych, wyraża swój niepokój wywołany postępami bolszewizmu.

Uzupełnieniem lektury dziennika jest jego korespondencja, która została, jak już wspominałem powyżej, zamieszczona w części I zbioru. Wśród korespondentów metropolity, co naturalne biorąc pod uwagę godność, jaką piastował, jest wielu wybitnych przedstawicieli Kościoła, m.in. papież Benedykt XV, do którego metropolita skierował obszerny list zawierający spojrzenie na konflikt ukraińsko-polski (a który nb. prawdopodobnie nigdy do adresata nie dotarł, był bowiem zbyt bezpośredni jak na wymogi

watykańskiej kurtuazji epistolograficznej); z racji pełnionej funkcji abp Bilczewski jest w stałym kontakcie z administratorem, a następnie nuncjuszem apostolskim Achillesem Rattim (późniejszym papieżem Piusem XI), który również jest zaangażowany w wypracowanie rozejmu pomiędzy Polakami i Ukraińcami; wśród korespondentów Bilczewskiego są także polscy hierarchowie – ówczesny biskup krakowski Adam Stefan Sapieha, arcybiskupi Aleksander Kakowski i Edmund Dalbor, a także, o czym już wspominaliśmy powyżej, abp Andrzej Szeptycki.

Korespondencja pomiędzy oboma metropolitami została wprawdzie opublikowana osobno, ale i tu znalazł się ciekawy dokument będący jakby uzupełnieniem tamtych 40 listów – niewysłany list Bilczewskiego do Władki Świętojurskiego, w którym nie szczędzi on gorzkich słów adresatowi oskarżając księży greckokatolickich o podsycanie nienawiści wobec sąsiadów obrządku łacińskiego, a jego samego o tolerowanie tego stanu rzeczy. Zarzuca mu także podwójne standardy w ocenie zbrodni wojennych popełnionych przez i na Ukraińcach. Ostatecznie abp Bilczewski wysłał znacznie krótszy list w złagodzonej formie, który można przeczytać w *Nieznannej korespondencji*⁵.

Bilczewski przy okazji swoich licznych aktywności wymienia także listy z politykami, dowódcami wojskowymi: A. Skarbkiem, W. Sikorskim, J. Hallerem, J. Dowbor-Muśnickim, T. Rozwadowskim, a także wysłannikami ententy, m.in. gen. Josephem Barthélemy. Listy do polskich generałów są często interwencjami podejmowanymi na prośbę

abpa Szeptyckiego w sprawach, które znamy z wzajemnej korespondencji. I tak np. 3 kwietnia 1919 Szeptycki pisze do Bilczewskiego z prośbą o wstawiennictwo w sprawie księży greckokatolickich internowanych przez wojsko polskie, przysyłając ich (niepełną) listę⁶. Bilczewski już w dzień później nadaje sprawie dalszy bieg⁷.

Oprócz korespondencji z możnymi tego świata, wiele dokumentów zamieszczonych w części I *Kościola katolickiego...* to listy od kapłanów i zakonników, a także wiernych z archidiecezji lwowskiej, którzy na bieżąco informowali abpa Bilczewskiego o wydarzeniach, jakich byli świadkami. Wśród arcybiskupich informatorów jest np. ks. Eugeniusz Baziak, pełniący wówczas funkcję administratora w parafii w Tarnopolu, a który po wielu latach w równie dramatycznych czasach stanie się następcą Bilczewskiego. Być może właśnie dzięki tej korespondencji metropolita był zawsze w stanie merytorycznie odnosić się do zarzutów formułowanych wobec niego m.in. przez abpa Szeptyckiego.

Ks. Wołczański zdecydował się obok korespondencji wychodzącej i przychodzącej z i do arcybiskupiego pałacu zamieścić listy związane z wojną polsko-ukraińską autorstwa dostojników zarówno cywilnych, jak i duchownych, pochodzące z innych źródeł, ze szczególnym uwzględnieniem Archiwum Watykańskiego. Są tu listy, jakie Achilles Ratti wymieniał z przedstawicielami Wojska Polskiego. Dotyczą one najczęściej interwencji, jakich podejmował się w sprawie duchownych i zakonników greckokatolickich. Ale znacznie ciekawsze są te, jakie później papież Pius XI wymieniał z ówczesnym watykańskim sekretarzem stanu kard. Pietro Gassparim i innymi dostojnikami z kurii rzymskiej. Dają one pogląd na stosunek Watykanu do racji obu stron w czasie wojny ukraińsko-polskiej. Jest rzeczą oczywistą, że Stolica Apostolska musiała szukać obiektywnego spojrzenia na konflikt rozgrywający się pomiędzy wiernymi podległych sobie Kościołów obu obrządków, jednak niektóre sformułowania zawarte w tej korespondencji są co najmniej krzywdzące dla strony polskiej. W tym kontekście, wiele do myślenia daje nota na temat świadomości, a raczej braku jakiegokolwiek świadomości Ojca św. Benedykta XV na temat wydarzeń w Galicji Wschodniej⁸.

Nuncjusz apostolski Achilles Ratti



Ówczesne władze polskie – w przeciwieństwie do dzisiejszych, chciałyby się rzec – zdawały sobie jednak sprawę, że swoją wersję wydarzeń trzeba głośno artykułować i wesprzeć dowodami. Taki cel miała akcja dokumentowania strat i prześladowań ludności polskiej przez Ukraińców. Z apelem o sporządzenie takiej dokumentacji władze polskie zgłosiły się do arcybiskupa Bilczewskiego⁹. Apel ten został następnie dwukrotnie w 1919 r. ogłoszony na łamach „Kurendy Kurii Metropolitalnej Lwowskiej obrządku łacińskiego” i przyniósł szeroki odzew. Do kurii napłynęło kilkadziesiąt relacji, których objętość i forma były pochodną temperamentu autora. Relacje te stanowią gros dokumentów, jakie składają się na część II *Kościoła Katolickiego i Polaków...*

Mamy tu z jednej strony do czynienia z suchymi faktami zaprezentowanymi w formie tabelki, a z drugiej niemal epickimi opowieściami zajmującymi wiele stron maszynopisu, które obok opisów zbrodni popełnianych przez Ukraińców zawierają wiele informacji lżejszej wagi, pozornie nieistotnych, ale po blisko stu latach stanowiących ciekawy materiał do poznania realiów epoki. Np. w relacji ks. Wawrzyńca Ożgi z parafii Stare Sioło w powiecie bóbreckim czytamy: *Dnia 25/11 rano 7 żołnierzy z rohatyńskiej sotni zrabowali 3 sztuki świń wartości 5600 koron mówiąc: – My użę try dny niczoho nie żyły.*

Wśród sprawozdań i relacji znalazły się także wytworzone przez stronę polską i znalezione przez autora w Archiwum Watykańskim opracowania na temat konfliktu. Pierwszy z nich to pochodzący z sierpnia 1919 roku, opatrzony drastycznymi zdjęciami zbrodni dokonanych przez Ukraińców, raport dyrektora Departamentu Informacji w Warszawie do polskiego MSZ. Jest też tekst wystąpienia sejmowego posła Jana Zamorskiego, w którym referuje on efekty pracy Komisji Sejmowej badającej skutki wojny. Natomiast *Relacja ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej hr. Władysława Skrzyńskiego na temat zbrojnej inwazji ukraińskiej w Galicji Wschodniej w roku 1918*, a także napisany ręką tego samego dyplomaty raport na temat działalności abpa Szeptyckiego skierowanej przeciwko polskiej racji stanu, datowany na październik 1921 roku, są prawdopodobnie próbą naświetlenia polskiej wersji wy-

darzeń podjętą w odpowiedzi na ofensywę propagandową prowadzoną przez stronę ukraińską, w którą, jak skądinąd wiadomo, bardzo mocno zaangażowany był abp Szeptycki. Wszystko to bardzo ciekawe nie tylko ze względu na warstwę faktograficzną, ale także pozwala poznać nieco „kuchnię dyplomatyczną” w tamtych czasach.

Uzupełnieniem dokumentów pisanych składających się na zbiór jest blisko 200 ilustracji zamieszczonych w aneksach na końcu obu woluminów. W tomie I autor zamieścił głównie fotografie aktorów ówczesnych wydarzeń, zarówno te portretowe, jak i przedstawiające poszczególne osoby w „akcji”. Są tu też zreprodukowane dokumenty dnia codziennego – ulotki, przepustki i plakaty związane z opisywanymi w książce wydarzeniami. W drugim tomie mamy do czynienia z fotografiami budynków, panoramami miast i miasteczek Małopolski Wschodniej pochodzącymi z czasów nieodległych wydarzeniom, jakim poświęcone są dokumenty zawarte w *Kościele Katolickim i Polakach...*

Publikacja źródeł rzadko budzi zainteresowanie szerokiego kręgu czytelników. Amatorzy wolą zazwyczaj czytanie opracowań napisanych przez historyków niż brnięcie przez teksty źródłowe, które nie zawsze są łatwe w interpretacji. Jednak ktoś zainteresowany historią Kościoła katolickiego na ziemiach wschodnich u progu niepodległości nie ma na razie wyboru. W przypadku dokumentów opublikowanych przez ks. Wołczańskiego nie powinien się jednak czuć onieśmieszony gąszczem faktów i nieznanych sobie postaci. Benedyktyńska praca edytorska, której najbardziej namacalnym efektem są niemal cztery tysiące przypisów, a także obszerne wprowadzenie, pozwoli każdemu czytelnikowi zorientować się w zawiłościach sytuacji. Edytor zadał sobie trud, aby wyjaśnić wszystkie niejasności, zidentyfikować olbrzymią większość osób wspomnianych w dokumentach, a także zamieścić ich krótkie biogramy. Oczywiście nie zawsze zidentyfikowanie wspomnianych w dokumentach osób po przeszło 90 latach było możliwe.

Tu pozwolę sobie na drobne uzupełnienie. Przypadek chyba sprawił, że domyślam się, kim jest jedna z osób, której nie udało się zidentyfikować Autorowi. 15 maja 1919 abp Bilczewski celebrował mszę św. w katedrze, tego samego

dnia notuje: *Z obcych zauważyłem Amerykanina Coopera*. Przypis informuje nas, że jest to osoba niezidentyfikowana. A czy nie chodzi tu o Meriana Caldwell'a Coopera, lotnika i bohatera wojny bolszewickiej, a po powrocie do Stanów znanego filmowca, twórcy King Konga z 1933 roku, a także ojca biologicznego znanego pisarza i tłumacza Szekspira Macieja Słomczyńskiego? Wszak Cooper przebywał we Lwowie na wiosnę 1919 roku w ramach misji pomocowej ARA (American Relief Administration), co zostało uwiecznione na zdjęciach, m.in. na opublikowanym w albumie pt. *Obrona Lwowa w obrazach współczesnych* (Lwów 1930).

Publikacja *Kościół Katolicki i Polaków...* jest jeszcze z jednego względu niezwykle ważna. Ktoś kiedyś powiedział, że wydarzenia z przełomu 1918–19 roku wywarły olbrzymi wpływ na stosunki polsko-ukraińskie w całym XX wieku, a być może i wciąż wywierają. Trudno się z tą opinią nie zgodzić. Trudno też nie zauważyć, że mamy do czynienia ze skrajnie odmiennymi interpretacjami tych wydarzeń. Dziś, gdy przynajmniej w Polsce w dużym stopniu opadły już emocje związane z konfliktem z lat 1918–19, staramy się „obiektywizować” raczej jednej i drugiej strony. Jednak zamiast szukać prawdy tam, gdzie wcale ona nie leży, czyli „po środku”, lepiej sięgnąć po teksty źródłowe. To one najlepiej pomogą czytelnikowi poznać fakty i stworzyć sobie, co i dlaczego myślały osoby współczesne wydarzeniom z lat 1918–1919.

Karol Chlipalski

PRZYPISY

- ¹ J. Wołczański, *Kościół Katolicki i Polacy w Małopolsce wschodniej podczas wojny ukraińsko-polskiej 1918–1919*, Wydawnictwo bł. Jakuba Strzemię Archidiecezji Lwowskiej ob. łac., Kraków – Lwów 2012;
- ² Dawniej Papieska Akademia Teologiczna;
- ³ J. Wołczański, *Nieznana korespondencja arcybiskupów metropolitów lwowskich Józefa Bilczewskiego z Andrzejem Szeptyckim w czasie wojny polsko-ukraińskiej 1918–1919*, Wydawnictwo bł. Jakuba Strzemię Archidiecezji Lwowskiej ob. łac., Kraków – Lwów 1997; tom II, s. 294–474;
- ⁴ s. 124–125;
- ⁶ *Nieznana korespondencja...*, list 35, s. 112;
- ⁷ *Kościół Katolicki i Polacy...*, część I, dokument 47, s. 154;
- ⁸ Tamże, część II, dokument 125, s. 800;

- ⁹ Odnośne pismo z Biura Archiwalnego przy Komisji Rządzącej we Lwowie znalazło się w części I *Kościół Katolicki i Polaków...*, dokument 49, s. 156

📖 W CL 1/12 w dziale **Nowe Książki** (s. 58) zamieściliśmy informację o promocji książki pt. *Kresowianie na Śląsku Opolskim*, zawierającej prawie 50 omówień napisanych przez naukowców, działaczy oraz osoby, które przeżyły exodus z rodzinnej ziemi na Wschodzie i organizowały życie ekspatriantów na nowym miejscu osiedlenia, jakie im przypadło – na Śląsku Opolskim.

Ponieważ wielowątkowa problematyka wypowiedzi jest niezwykle interesująca nie tylko dla historyków, ale i dla nas wszystkich, pozwalamy sobie przedstawić tytuły tekstów, zgrupowanych w kilku działach. Redakcja materiałów leżała w rękach Marii Kalczyńskiej, przy współpracy Krystyny Rostockiej i Elżbiety Treli-Mazur.

– A. Wierciński: *O ekspatriantach i wypędzonych*. **SZKICE I ROZPRAWY** **Z kart historyków**

- E. Treli-Mazur: *Bagaż doświadczeń kresowych*
- B. Cimała: *Uwarunkowania wysiedleń Polaków z Kresów*
- D. Kisielewicz: *Weryfikacja narodowościowa i problemy osadnictwa w działalności wojewody śląskiego Arki Bożka*
- ks. A. Hanich: *Powojenna „repatriacja” Polaków z Kresów Wschodnich na Śląsk Opolski*
- A. Szymczyzna: *Działalność osadnicza Punktu Etapowego PUR w Głubczycach w latach 1945–1947*
- K. Jasiak: *Kresowi „żołnierze wyklęci”. Wspomnienia o kpt. Marianie Niżankowskim ps. „Junosza”*

Perspektywy badawcze

- E. Dworzak: *Mieszkańcy Kresów Wschodnich II RP na ziemi opolskiej po 1945 r. Pochodzenie, rozmieszczenie i liczebność*
- T. Sitnik: *Z badań nad dziedzictwem kulturowym Kresowiaków*
- M. Górniak: *Osadnictwo w Starym Lesie po 1945 r.*
- K. Kleszcz: *Gwara kresowa na Śląsku Opolskim*

Kresowianie na Opolszczyźnie

- bp J. Kopiec: *Kresowi biskupi w Opolu*
- A. Rajchel: *Ksiądz proboszcz Edward Kucharz – duszpasterz Kresowian w Opolu*
- A. Guzik: *Udział Kresowian w powstaniu i rozwoju Politechniki Opolskiej*

- J. Duda, D. Dzionek: *Kresowe rody nauczycielskie w Opolu*
- J. Kościów: *Bibliotekarze kresowi na Śląsku Opolskim*
- E. Trela-Mazur: *Tradycje leśnictwa kresowego*
- hm. A. Dobrzyński: *Kresowiaci w harcerstwie opolskim*
- ks. A. Szubka: *Dzieje obrazu Matki Bożej Bolesnej z Monasterzysk w Bogdanowicach*
- E. Dworzak: *Dzieje obrazu Matki Boskiej Patronki Sybiraków z Grodzca*

WSPOMNIENIA I DOKUMENTY

Kresowianie o sobie

- W. Żołnowski: *Exodus wymuszony przez mocarstwa*
- A. Skibniewski: *Kuferek z pamiątkami*
- A. Frej: *Wolne miasto królewskie Busk*
- J. Hickiewicz: *70. rocznica tajemnicy Czarnego Lasu. Moje młodzieńcze wspomnienia ze Stanisławowa*
- C. Mykita-Glensk: *Lwów–Kluczbork–Opole*
- D. Schetyna: *Ze wspomnień rodzinnych. Zbiornik Schetyna 1924–1990*
- J. Byczkowski: *Moja droga do Polski*
- A. Kownacka-Góral: *Pierwsze lata na Śląsku*
- T. Bednarczuk: *Na Tamopolszczyźnie zostałem swoje serce i duszę*

Kresowianie w pamięci kronikarzy

- S.S. Nicieja: *Stanisławów i Stanisławowianie*
- S.S. Nicieja: *Nadwórmianie na Śląsku Opolskim*
- A. Szymczyńska: *Bronisława Bołtuć. Wspomnienia deportowanej na Syberię 10 lutego 1940 r.*
- M.J. Kalczyńska: *Wędrowka Józefa Konopackiego z Kamionki Strumłowej przez świat do Opola*
- K. Kleszcz: *Relacje ekspatriantów z z Biłki Szlacheckiej i Biłki Królewskiej*
- S. Socha: *Przeżyłem – Ludwik Doliszny z Podola*
- M.P. Czapliński: *Wspomnienia mojej babci wilnianki – Jadwigi Malik*
- P. Szyndler: *Stefania Bosa z Zarudzia na Wołyniu*
- M. Kalczyńska: *Tradycje pielgrzymkowe Kresowian*
Wyprawa na Kresy Południowo-Wschodnie (czerwiec–lipiec 2010)

INFORMATOR KRESOWY

Instytucje pielęgnujące pamięć o Kresach

- E. Dworzak, M. Goc: *Tematyka kresowa w działalności Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu*
- J. Baj: *Muzealne spotkania z Kresami w Kluczborku*
- P. Harupa: *Oddział Opolski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” – kultywowanie pamięci o Kresach*
- H. Nabrdalik: *Radio Opole a tematyka kresowa*

Stowarzyszenia kresowe

- I. Kalita, J. Duda: *Opolski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Pd.-Wsch. (1988–2010)*
- M. Madziewicz: *Współpraca Opola z Wileńszczyzną i perspektywy jej rozwoju*
- H. Antonowicz: *Informacja o działalności Kresowian w Brzegu*
- K. Maler: *Inicjatywy kresowe głubczyczan*
- A. Nocoń: *Informacje o działalności Oddziału Tow. Miłośników Lwowa i KPW w Kędzierzynie-Koźlu*
- W. Grajewska: *Nyski Oddział Tow. Miłośników Lwowa i KPW*

Bibliografie i wykazy

- W. Pawłowicz: *Kresowiana w polskich bibliotekach cyfrowych*
- J. Kołodziejska: *Wykaz organizacji i stowarzyszeń kresowych oraz instytucji województwa opolskiego kultywujących pamięć o Kresach.*

Wypada pozazdrościć opolskim ekspatriantom tak bogatego opracowania historycznego. Należałoby analogiczne materiały zebrać we wszystkich regionach RP.

Wertując wydawnictwa

➔ W „Rzeczpospolitej” z 12–13 V '12 znajdujemy obszerną opowieść *Generał pod pręgierzem o gen. Stanisławie Sosabowskim* i udziale jego 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej w największej w czasie II wojny światowej operacji powietrzno-desantowej aliantów na terenie Holandii, pod nazwą „Market Garden”, w maju 1944 roku.

Autor artykułu, P. Zychowicz, rozmawia z dwoma uczestnikami tamtej operacji, Józefem Wojdyłą (sybirakiem, rodem z Biłki Szlacheckiej k. Lwowa) oraz S. Kowalczykiem-Kowalewskim, dziś już ludźmi sędziwymi. Obaj, poza dramatyczną relacją o swoich przeżyciach w czasie bitwy pod Arnhem, opowiadają o swym dowódcy, generale Sosabowskim, o jego postawie, koncepcji taktycznej, dowodzeniu i doznanych skutkach przegranej przez aliantów operacji.

Anglicy własne złe przygotowanie i błędy przypisali Polakom, co zresztą było praktykowane przez nich niejednokrotnie. Po wojnie więc gen. Sosabowski został obwinięty o niepowodzenia operacji, a na przełożonych Generała wymuszono jego odwo-

lanie. Podobnie zresztą postąpiono z gen. Sosnkowskim, w obawie przed kryzysem w stosunkach z Brytyjczykami. Było to nie tylko niesprawiedliwe, ale i bezprzedmiotowe, ponieważ już wtedy było wiadome, że Polskę „sprzedano” sowieciom.

Po demobilizacji generał Sosabowski pozostał w Anglii, pracował prywatnie, żył niezwykle skromnie, cieszył się jednak szacunkiem dawnych podwładnych. Zmarł w 1967 r., jego zwłoki sprowadzono do Kraju i pochowano na Powązkach. Obecnie trwają starania o „rehabilitację” (!) Generała, jednak Anglicy nie mają zamiaru przyznawać się do własnego braku obiektywizmu.

Wypada przypomnieć, że gen. Stanisław Sosabowski pochodził ze Stanisławowa (ur. 1892).

➡ Dostaliśmy – po kilku latach – numer 39 pisma **„Przeszość i Pamięć”**, wydawanego przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Redaktorem naczelnym jest prof. Andrzej K. Kunert, sekretarz generalny ROPWiM, który objął tę instytucję po śp. Andrzeju Przewoźniku.

Omawiane pismo powołał do życia A. Przewoźnik, jednak po pewnym czasie przestało się ono ukazywać (pisaaliśmy o nim w CL). Podjęte na nowo w obecnym układzie doszło już do nr 39. Otrzymany obecnie zeszyt robi bardzo dobre wrażenie: dużego formatu (A4), o ponad 250 stronach, kolorowe, z wieloma zdjęciami. Porusza tematy historii zarówno współczesnej, jak i dawnej. Są to wspomnienia o wydarzeniach i ludziach oraz informacje o sprawach aktualnych: uroczystościach, rocznicach, spotkaniach i imprezach, o ludziach zaangażowanych w utrzymanie pamięci i świadomości narodowej.

W omawianym numerze zwróciliśmy uwagę przede wszystkim na bogato ilustrowaną relację z opisem uroczystości odsłonięcia w Warszawie tablicy pamiątkowej ku czci Jadwigi Zarugiewiczowej (1878–1968), symbolicznej Matki Nieznanego Żołnierza, który zginął w 1920 r. pod Zadwórzem w obronie Lwowa przed bolszewikami, a w 1925 r. został złożony w Grobie pod kolumnadą na placu Saskim (Piłsudskiego) w Warszawie. Pisaaliśmy o tym w CL 1/12 i niniejszym – jako erratę do poprzedniego.

➡ Nie znaleźliśmy dotychczas czasopisma wydawanego przez Studenckie Koło Historyków Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, którego nr 13 i 14 z XI’11 i III’12 dotarły do nas ostatnio. Pismo nazywa się **„Wehikuł Czasu”**, a wymienione dwa numery zostały opracowane pod opieką dra Huberta Chudzi przez Centrum Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze CL (3/12).

W obu ww. numerach pisze się zarówno o wyprawach studenckich organizowanych przez Centrum ZWiP, jak i ludziach, którzy w odwiedzanych krajach znaleźli się głównie na skutek zsyłek do republik sowieckich, a po zwolnieniu – osiadłych we wszystkich częściach świata, poczynając od Europy (głównie w W. Brytanii), aż po Australię i Oceanię. Tam przez dziesięciolecia – jeśli nie wrócili do powojennej Polski – biegnie (lub biegnęło) ich życie, tam działali i tworzyli. I tu można się bardzo wiele dowiedzieć o wywiezionych ze Lwowa i Małopolski Wschodniej (oczywiście także z innych regionów naszych Ziemi Wschodnich).

Podróże grup studenckich zaczynają się od stron najbliższych. W nr. 13 czytamy o wyjeździe do Przemyśla i Lwowa. Młodzi ludzie poznali tam miasta, ich obiekty i zabytki, które wywiezieni musieli opuścić przed siedmioma dziesiętkami lat – sami ich przecież znać nie mogli. Poznanie tych miejsc stało się na pewno szczególną wartością w dalszym poszukiwaniu rozproszonych Rodaków.

Tym samym torem biegnie nr 14. Tu znajdujemy dwa opracowania historyczne: *Przejęcie lotnisk Hureczko i Lewandówka w 1918 r.* (K. Stasiak), *Obrona Lwowa 1939* (M. Mroczek), *Wielka wojna w Przemyślu czyli I oblężenie Przemyśla* (K. Śmigieński) oraz *Ślady przeszłości* (K. Odrzywołek – o pozostałościach żydowskich).

➡ W CL 4/12 (w analogicznym dziale, s. 55) zapropagowaliśmy miesięcznik „Historia”, związany ze znakomitym (wtedy) tygodnikiem „Uważam Rze”. Niestety do kultury wmieszała się polityka. W listopadzie ’12 usunięto naczelnego redaktora obu pism Pawła Lisickiego (wcześniej redaktora nacz. dziennika „Rzeczpospolita, również stamtąd usuniętego), a za nim samorzutnie odeszli publicyści, dzięki którym tygodnik zyskał

rangę czołowego pisma społeczno-kulturalno-historycznego w naszym Kraju.

W tej sytuacji prosimy Czytelników o niebranie pod uwagę naszych wcześniejszych zachęt. Przepraszamy!

📖 Świetny prezent dla wnuków: pani Anna Kubajak, która prowadzi własne wydawnictwo w Krzeszowicach k. Krakowa, przyniosła nam swoją najnowszą pozycję, a mianowicie książeczkę-albumik zatytułowaną: **Malowanki lwowskie** – jako pierwszą z zamierzonego cyklu. Przyznajemy się szczerze, że byliśmy tym zachwyceni, i to potrójnie: pomysłem, rysunkami do kolorowania, a przede wszystkim tekstami, które objaśniają te rysunki. Rysunki wykonała p. **Joanna Dzierzbicka**, teksty napisała sama pani **Anna Kubajak**. Oto próbka tekstów – najpierw tych dla rodziców:

Lwów to miasto bardzo ważne w historii Polski i zgodnie z hasłem SEMPER FIDELIS zawsze wiernie. Pamięć o Lwowie należy kultywować i przekazywać następnym pokoleniom. Taki cel mają „Malowanki lwowskie”, dlatego też skierowane są do naszych najmłodszych.

„Malowanki lwowskie” bawią, a zarazem uczą. Pozwalają dziecku poznać miasto Lwów i jego okolice – zabytki, historię, stroje ludowe, zwyczaje. Zamieszczony w książce

wiersz Władysława Bełzy „Katechizm polskiego dziecka” pomaga w budzeniu jego patriotyzmu.

Dzięki malowankom dziecko poznaje Lwów jako miasto piękne, ciekawe i sympatyczne – miasto, które warto polubić, zwiedzać i o którym trzeba pamiętać.

I objaśnienia do rysunków:

Dawno, dawno temu, kiedy Twój pradziadek i prababcia byli jeszcze dziećmi, Lwów był pięknym polskim miastem, w którym ludzie lubili żartować i śmiać się...

Rynek otoczony jest wokół pięknymi kamienicami. Na obrazku pokazane są niektóre z nich. Z pewnością widzisz, że mają one różne kolory. Pokoloruj według wzoru na rysunku. Zobaczysz, że będą wyglądać wtedy jeszcze piękniej.

Dwaj chłopcy, których widzisz na rysunku to lwowskie batiary – takie wesole rozrabiaki, spryciarze. Przeskakując z nutki na nutkę poznasz imiona dwóch najślawniejszych batiarów. Występowali oni w radiu w „Wesołej Lwowskiej Fali”.

Chłopcy z wioski w rejonie Lwowa w opończach, nazywanych też świtą. Był to piękny, tradycyjny wiejski strój. Pokoloruj wizerunek pierwszego chłopca według kolorów pokazanych na drugim.

Takich tekstów o niewątpliwej wartości edukacyjnej jest dużo więcej.

Omawianą książeczkę można nabyć na zamówienie pod adresem: WYDAWNICTWO KUBAJAK, pl. F. Kulczyckiego 2, 32-065 Krzeszowice, tel. 12 282 62 65. Cena 1 egzemplarza wynosi 5,50 zł + koszt przesyłki.



LISTY DO REDAKCJI



Otrzymaliśmy list od p. Jana Rybotyckiego, w którym potwierdza On swoją rezygnację z dalszego prowadzenia Biuletynu Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, wydawanego od lat we Wrocławiu. Wiadomość tę sygnalizowaliśmy już w CL 3/12 (s. 66–67). Szkoda, bo pismo było ciekawe. Pamiętamy, że Pan Redaktor przygotował niegdyś hasła do naszego Słownika geograficzno-historycznego w CL 2/10.

Równocześnie p. Rybotycki informuje nas o nowym redaktorze Biuletynu. Jest nim zamieszkały w Krakowie p. Marian Szczepanowicz, e-mail: szczepanowicz@poczta.np.pl.

Pan Jan napisał miłe dla nas słowa:

Bardzo dziękuję za życzliwe wypowiedzi o Biuletynie SPZD na łamach kwartalnika „Cracovia–Leopolis” i przyjazne traktowanie środowiska Drohobyczan oraz naszego półrocznika.

Przecież to oczywiste, jesteśmy wszak jedną rodziną wschodniomałopolską. W sensie duchowym i rodzinnym. Każdy z nas miał swoich krewnych we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Drohobyczu czy Borysławiu. I w wielu, wielu innych miejscowościach. O tych więzach muszą wiedzieć i zawsze pamiętać nasze dzieci i wnuki.

Serdecznie pozdrawiamy.

W numerze CL 3/12 zamieściliśmy zdjęcie pomnika w Niemczech Zachodnich, sfotografowanego w 1958 r., gdzie chyba nad Renem, na którym wymienione są m.in. nazwy Husiatyna i Brzeżan – to przecież z naszych wschodniomałopolskich stron! Szczegółowa lokalizacja tego pomnika wyleciała z pamięci, dlatego zwróciliśmy się do Czytelników – kto to wie, kto rozpozna? I oto nadszedł e-mail od p. Leszka Kamasa, który wyjaśnia co następuje:

Pomnik znajduje się w Parku Hindenburga w Bingen am Rhein (nad Renem – Nadrenia-Palatynat) i upamiętnia żołnierzy niemieckich 17. Rezerwowego Pułku Piechoty, poległych podczas I wojny światowej.

Bardzo dziękujemy Panu Leszkowi, wyrażając zarazem podziw dla Jego znajomości rzeczy. Zasyłamy serdeczne pozdrowienia.

Z Wrocławia od Pani dr Haliny Mędrək dostaliśmy – jak corocznie – życzenia:

Dla Pana i całego Zespołu na te radosne Święta Bożego Narodzenia przesyłam bardzo serdeczne życzenia zdrowia, radości, wytrwałości w Waszej pracy. Dziękujemy za to, co robicie. Serdeczne pozdrowiam. Daj, Boże, zdrowia,

Halina Mędrək, Wrocławianka-Lwowianka

Serdecznie dziękujemy. I my składamy Pani – nieco spóźnione, ale bardzo szczerze – najserdeczniejsze życzenia zdrowia i najlepszej nadziei na cały Nowy Rok 2013 (i następne!). Nie dajmy się!

List z Wrocławia od Pana dra Tadeusza Kukiza:

W artykule p. Krzysztofa Bulzackiego *Muzeum Drugiej Wojny Światowej* (CL 2012, nr 4 [72], s. 8, 9, 23) znalazło się zdanie: „Oficerowie i funkcjonariusze policji oraz urzędnicy państwowi zostali wymordowani w Katyniu i w Bykowni pod Kijowem oraz w Starobielsku i Ostaszkowie”. Było trochę inaczej. Ani Starobielsk, ani Ostaszków nie były miejscami masowych mordów polskich obywateli.

Wczesną wiosną 1940 r. jeńców z tych obozów (i z Kozielska) zaczęto przewozić do innych, odległych miejscowości i tam mordowano strzałem w tył głowy. Tych ze Starobielska wożono do Charkowa (ok. 200 km) i rozstrzeliwano w budynku NKWD, a ich zwłoki zakopywano w pobliskich Piatichatkach (włączonych potem do Charkowa). Policjantów transportowano z Ostaszkowa do Kalinina (obecnie Twer), odległego ok. 180 km, i tam – także w gmachu NKWD – zabijano. Ich zwłoki przewożono w okolicę miejscowości Miednoje (ok. 30 km od Tweru), wrzucano do dołów i zakopywano. I jeszcze dopowiedzmy – choć to na ogół jest znane – że jeńców z Kozielska przewożono do Katynia koło Smoleńska (ok. 270 km) i rozstrzeliwano nad wykopanymi dołami.

Nieścisłości, występujące zwłaszcza w prasie, dotyczące miejsc sowieckich masowych mordów na polskich obywatelach i miejsc zakopywania ich zwłok, spotyka się bardzo często. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Sowietom celowo dokonywali wspomnianych przemieszczeń jeńców i ich zwłok, by utrudnić ujawnienie dokonanych zbrodni, co im się zresztą – poza Katyniem ujawnionym w 1943 r. – przez dziesiątki lat udawało.

Kresomania wyobrażona?

dokończenie ze s. 8

PRZYPISY AUTORA

* Wydanie przygotowane na podstawie przekładu I. Kani. Wrocław 2010, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.

** Księga..., nr 19, dodatek do „Rzeczpospolitej” z 10 VI 2010.

*** Pisałem o nich w „Indeksie” (1009, nr 3–4) i w „Odrze” (1009, nr 9)

**** M. Żuławski, *Album domowe*, Warszawa 1997.

Autor nadesłał nam powyższy tekst, opublikowany wcześniej w „Odrze” nr 10/2011.

Dziękujemy.

Mamy podobne obserwacje i także je kiedyś przedstawiliśmy w CL.

Po Haliczu –

OD SZEŚCIU WIEKÓW WE LWOWIE

dokończenie ze s. 10

będzie wprowadzenie cywilizowanego elementu z zachodniej Europy: Polaków, Niemców, Węgrów, Czechów.

¹¹ Lubusz, gród średniowieczny nad środkową Odrą. Biskupi lubuscy mieli nawracać tamtejszych Słowian. Doszło jednak do konfliktów między Polską a Niemcami, a ówczesny biskup uszedł na Ruś.

¹² W czasie gdy Kazimierz Wielki objął Ziemię Czerwieńską, tamtejszy Kościół katolicki należał formalnie do diecezji lubuskiej.

¹³ Kościółek ten był wcześniej kaplicą dworską księżnej Konstancji, katoliczki, żony ks. Lwa (prawosławnego), a córki króla węgierskiego (siostry królowej polskiej Kingi).

¹⁴ Bł. Jakub Strepa (Strzemię), 1392–1409.

¹⁵ Kardynał grekokatolicki Huzar – jako obecnie najwyższy rangą dostojnik Kościoła katolickiego w państwie ukraińskim – nie zaprosił na uroczystość papieża Benedykta XVI, tłumacząc to stanowisko sytuacją polityczną w tym państwie!

¹⁶ Ks. Jan Nikiel prowadził w 2011 r. doroczną Mszę św. za Orleńską Lwowską i wygłosił homilię w Bazylice Mariackiej w Krakowie (patrz CL 1/12).

Początki skautingu na ziemiach polskich

dokończenie ze s. 15

¹⁶ H. Bagiński, op. cit., s. 412. Faktyczne ujawnienie pracy skautowskiej nastąpiło jednakże 21 maja 1911 r., kiedy to utworzono Naczelną Komendę Skautową przy „Sokole-Macierzy”. Dla polityki „Sokoła” było charakterystyczne, że do Naczelnej Komendy Skautowej wy-

brano tylko tych „zarzewiaków” i członków „Armii Polskiej”, którzy należeli jednocześnie do Towarzystwa „Eleusis” (Andrzej Małkowski, Jerzy Grodyński, Olga Drahonowska). Pominęci zostali organizatorzy tajnego skautingu w Oddziałach Ćwiczebnych (Bagiński, M. Neugebauer i inni). „Zarzewie”, op. cit., s. 414, przyp. red.

¹⁷ W. Błażejowski, „Historia...”, s. 9.

DOKUMENTY RODZINY JAZŁOWIECKIEJ W ARCHIWUM

dokończenie ze s. 44

w tym zbiór fotografii z różnych okresów ich działalności (m.in. znakomitego dokumentalisty, śp. por. Stefana Mulki, Ułana Jazłowieckiego i żołnierza I Dywizji Pancerniej, oraz p. Alicji Kasprzyckiej-Wierzbickiej), ale i innych osób.

Chciałbym na koniec wyrazić uznanie i wdzięczność tym wszystkim, nieżyjącym

i żyjącym Żołnierzom Pułku, Członkom Kół Pułkowych i naszej Rodziny, twórcom przekazywanych materiałów i tym, którzy je przechowywali i nam przekazali w opiekę, a także Państwu – Pracownikom Archiwum Akt Nowych, za ich docenienie, przyjęcie i szybkie opracowanie, dla udostępnienia badaczom i innym zainteresowanym osobom oraz środowiskom.

Warszawa, 28.05.2012 r.

Jan Gromnicki – Prezes Rodziny
14 Pułku Ułanów Jazłowieckich

dokończenie z II s. okładki

pozostają do dziś. W tym numerze poświęcamy Powstaniu 1863 roku krótką wzmiankę, a Czytelników odsyłamy do znakomitego artykułu profesora UJ Andrzeja Nowaka w pierwszym numerze nowego tygodnika „Do rzeczy”*. Powstaniu poświęcony jest też prawie cały zeszyt 1/13 pisma „Mówią wieki”.

Wydaje się, że niniejszy numer jest dość bogaty w wiadomości – złe i dobre, na zmianę. Zła – to odejście Abpa Tokarczuka i paru innych dobrze pamiętanych osób. Przykra wiadomość dla nas to zakończenie spotkań w kapitułarzu dominikańskim w Krakowie. Dobre wiadomości to uroczystość Gimnazjum we Wrocławiu i ta o odznaczeniu dwóch znakomych Osób z Krakowa. O tym wszystkim trzeba przeczytać.

Redakcja

* Nr 1 z 25 I '13. Tygodnik ten, tak jak i drugi – „W sieci” – zostały założone przez redaktorów i publicystów z dotychczasowego „Uważam Rze”.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nacz.)
Zasłużeni członkowie redakcji w stanie spoczynku: Romana Machowska, Maria Taszycka, Barbara Kościk

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania skrótów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od redakcji
NOWY ROK, STARE SPRAWY

DZIAŁALI DLA DOBRA RODAKÓW I OJCZYZNY

Rocznica Obrony Lwowa 1918

O. Sławomir Zieliński
W SERCU CZŁOWIEKA JEST PRAGNIENIE
DOMU

Marta Walczewska
MODLITWA WIERNYCH

KOMUNIKAT O ŚMIERCI ABPA TOKARCZUKA

LIST DO MARSZAŁKA SEJMU

Adam Wierciński
KRESOMANIA WYOBRAŻONA

Historia

Andrzej Chlipalski
OD SZEŚCIU WIEKÓW WE LWOWIE
POWSTANIE STYCZNIOWE I LWÓW

Anna Borkiewicz-Celińska
POCZĄTKI SKAUTINGU NA ZIEMIACH
POLSKICH

Marta Walczewska
LWOWIANKI

Rozmowy
Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z PROF. K. WIECHEM

Wspomnienia

Adam Tomaszewski
Z POEZJĄ OD DROHOBYCZA DO AUSTRALII

Słownik geograficzno-
-historyczny
Tadeusz Krzyżewski
RZĘSNA POLSKA I RUSKA

Wschód i Zachód
TRYNITARZE

MODA NA HERBY

Poezja

Irena Sandecka
GÓRA KRÓLOWEJ BONY W KRZEMIEŃCU

Mieczysława Piotrowska
BALLADA O RUINACH TWIERDZY

Proza

Franciszek Jaworski
CZARTOWSKA SKAŁA

Sylwetki

Tomasz J. Kotliński
JÓZEF MALINOWSKI

KAZIMIERZ PANEK

Ewa Łojkowska
WACŁAW SZYBAŁSKI

EUGENIUSZ CYDZIK

W Krakowie i dalej

NOWY ZARZĄD ODDZIAŁU TMLIKPW
W KRAKOWIE

27 LAT U DOMINIKANÓW
ODZNACZENIA DLA LUDZI GODNYCH

Notatki

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z tamtej strony

Barbara Czartoryska
W ŻYDĄCZOWIE JUBILEUSZ

Kultura ♦ Nauka

Anna Stengl
KONFERENCJA W MUZEUM AK

Jan Gromnicki
DOKUMENTY RODZINY JAZŁOWIECKIEJ...

Danuta Nespiak

UPAMIĘTNIENIA LWOWSKIE
WE WROCŁAWIU

Tadeusz Krzyżewski
ŁACINA I GREKA

DZIEŁO BRUNONA SCHULZA

Książki ♦ Czasopisma

NOWE KSIĄŻKI

WERTUJĄC WYDAWNICTWA

Listy do redakcji